

Biblioteka Sejmu Śląskiego

21223

FILOLOGJA I LINGWISTYKA

SZKIC POLEMICZNY

ALEKSANDRA BRÜCKNERA



LWOW

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1909

FILOLOGJA I LINGWISTYKA

SZKIC POLEMICZNY

ALEKSANDRA BRÜCKNERA



LWOW
NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
1908

21223

II.



X-52751
21223 II

W r. 1906 wyszły w wydawnictwie Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie moje «Dzieje Języka Polskiego».

W «Roczniku Slawistycznym» w Krakowie 1908 okazały się recenzje tych «Dziejow», Dr. H. Ułaszyna (str. 66—89) i prof. Baudouina de Courtenay (str. 90—121). Obie dochodzą do podobnych wyników: «książka, o której mowa, dla językoznawcy *nie ma prawie żadnej wartości*» (89), «książka *nie tylko nie przynosi pożytku, ale przeciwnie jest bezwarunkowo szkodliwą* (dla ludzi nieprzygotowanych odpowiednio)... *nie radzę jej czytać* zwykłym miłośnikom języka ojczystego» (121). Pozatym różnią się znacznie: recenzja Dr. Ułaszyna jest sucha, nudna, pedantyczna, jak każda rzecz jego piora; recenzja Baudouinowa natomiast napisana tak żywo, że, chociaż niczego się z niej czytelnik nie nauczy, ubawi się znakomicie; szkoda tylko, że autor najniepotrzebniej zepsuł efekt jej komiczny: pochwały bowiem, jakimi na str. 119 mnie obsypał, po tylu wymyślaniach z tych samych ust, przejęły mnie przynajmniej wstrętem; ten zgrzyt fałszywy kazi tylko całość, zresztą aż nadto harmonijną, prawdziwie Baudouinowską.

Obie recenzje podyktowała, zdaje się, tylko zła wola i uprzedzenie; obie obfitują w nedorzecznosci, błędy, przekręcania prawdy; recenzja Baudouinowa razi nadto miejscami grubym nieuctwem. Nie odpowiedzieć na nie, znaczyłoby brać udział w tumanieniu publiczności, gdyż «qui tacet, consentire videtur», kto milczy, przyzwala; odkładać odpowiedź do jakiegoś drugiego wydania samych Dziejow — ależ niechciałbym w książce wspominać o paszkwilach. Więc ogłaszam osobno odpowiedź na obie recenzje. Omawiam w niej kwestje zasadnicze i szczegóły z dziejow językowych, więc nie załatwiam tylko rachunkow osobistych i dlatego może ta broszura obudzić i ogólniejszy nieco interes.

Wobec ciągłego, niesłusznego, zrzędzenia i przekory recenzentow niezawsze przestrzegałem delikatności: ostrość tonu niech wybaczy czytelnik, pomny słow starego polemisty z r. 1584, że «takiego tej pokrzywie potrzeba była przymrozku tęgiego».

Jak same «Dzieje», tak i tę odpowiedź wyłożyłem jak najprzystępniej, unikając starannie wszelkiej terminologii fachowej, nie wchodząc w szczegóły, jakichby czytelnik nie wykształcony fachowo nie zrozumiał, na dowod, że i o kwestjach językoznawczych można bez hocus-pocus «uczonego» wystarczająco rozprawiać.

Przestrzegam zarazem czytelnika, że może ustęp o p. Ułaszynie opuścić i zacząć rzeczą o prof. Baudouinie; nie chciałem tylko p. Ułaszy na skrzywdzić, pomijając go zupełnie; wystawiłem go zaś na czoło, bo i w «Roczniku» jego recenzja Baudouinową wyprzedziła. Mogę zaś jego jako *quantité négligeable* zbyć tym krociej, im częściej zarzuty, skierowane przeciw

prof. Baudouinowi, i jego dotyczą, a osobno powtarzać ich nie myślę.

Spłodził dotąd Dr. Ułaszyn, ile wiem, tylko jedną marną dysertację (doktorską); braki własnej pomysłowości łąta zato nicowaniem prac obcych; z takimi »recenzjami« obchodzi potym redakcje: jedne je odrzucają, inne z braku czegoś lepszego drukują, np. Przegląd Polski: jak mógł jednak przyjąć Przegląd Polski recenzje dzieła Mokłowskiego t. j. puste znęcanie się nad nieboszczykiem (gdyż Dr. Ułaszyn o właściwej treści dzieła Mokłowskiego, jak sam naiwnie przyznaje, wyobrażenia niema), tej zagadki rozwiązać nie potrafię. O moich »Dziejach« napisał Dr. Ułaszyn trzy recenzje dotąd, po niemiecku i polsku; ponieważ się często dosłownie powtarzają, traktuję je razem, nie rozróżniam ich wcale.

Specjalnością Dr. Ułaszyna jest wyławianie myłek drukarskich, brakujących akcentów, przecinków, gwiazdek i t. d.; przy takim śledzeniu pazdziorka w oku obcym bierzwna we własnym naturalnie nie dostrzega. Przytoczę parę przykładów dla objaśnienia prawdomowności i dokładności tego pana.

Porównałem akcentuację polską z włoską; wiedząc dobrze o znacznej ich różnicy użyłem umyślnie słówka *niby* (*niby Włosi* str. 11): co *niby* znaczy, wiemy przecież; *on niby spi* znaczy, że on nie spi, lecz udaje i t. d. śpiącego; tymczasem p. U. napada na mnie tak: »Mylne jest twierdzenie, jakoby akcent polski był identyczny z włoskim« (Archiv. 29, 443). Naturalnie, i d e n t y c z n o ś ć obu akcentów byłaby nonsensem, ale ten nonsens wymyślił U., nie ja.

Objaśniam na str. 52 nazwę Pszczyny i Pskowa, że pochodzą od *pło-płosa* (jeziora), myłką *piora plesa*; U. twierdzi (str. 440), że czynię to nie dając żadnych objaśnień co do stosunku wzajemnego obu słów — znowu nieprawda, gdyż w owym tekście na str. 52 dodałem w nawiasie: »jak niebo — niebios« tj. dałem wystarczające objaśnienie, acz lakoniczne.

Najobszerniejszą chryję umieścił U. co do przegłosu

biały-bielić, o czym w swej dysertacji rozprawiał. Odmówiłem wywodom jego wszelkiej wartości, więc zmyśla U., że ja sam dawniej przegłos ten inaczej pojmowałem, dopiero po ukazaniu się jego pracy poglądy swoje sprostowałem, pod wpływem jego pracy, chociaż ją za bezowocną uznałem, ale moje słowa nie godzą się z czynami! Wszystko nieprawda, od początku do końca; zarzucam wręcz U., że przekreślił, umyślnie czy nie, mniejsza z tym, moje dawniejsze słowa, aby tylko tej mniemanej zmiany mojej, o jakiej mi się ani śniło, dowiodł. Oto probki prawdopodobności recenzenta.

A teraz probki jego drobiazgowości, jego upartego czepiania się każdego słowa. Przytoczyłem między czechizmami pisownię *wietrow* w drugiej części Psalterza Jadwigi; obojętne jest dla moich celów, że pisarz się sam połapał i malutkie *a* dopisał — więc jeździ po tym U. (69 uwaga), jakby to moim zadaniem było, nad każdą zbyteczną drobnostką szeroko i głęboko się rozwodzić — zostawiam to dla takich pedantów, jak on, co w braku zajęcia tym się zabawiać mogą. Stwierdzam, że język praslówiański kończył sylaby samogłoskami, odrzucał więc spółgłoski końcowe, wyrzucał spółgłoski ze zbitek i przytaczam na to między innymi *osę* (t. j. owad i *osę* drzewo, w dawniejszej polszczyźnie, wyłącznie *osiką* albo *osicą*, nigdy inaczej, np. *osiną*, nie nazywanej), i dodaję, że Niemiec ma jeszcze pierwotne *Espe* i *Wespe* — całą stronę (75 i 76) zappełnił U. biadaniami nad rzeczą, której bliższe szczegóły dla mnie zupełnie obojętne — mogłem przecież przytoczyć litewskie *wapsa* (osa) i pruskie *apse* (osa = osika), wolałem niemieckie (choć przedstawione, co mnie mało obchodziło), jako bardziej znane: właśnie dla krotkości. Materiał bowiem olbrzymi miałem na dziesięciu arkuszach druku (nie licząc w to ilustracji), wyłożyć, więc pewna lakoniczność, choćby nieraz ze szkodą dla przedmiotu, była nieodzownym warunkiem mej pracy. Dla tego też nieraz nie objaśniałem wszystkiego, zostawiałem coś niecoś i domyślności badacza fachowego, a nawet zwykłego czytelnika — nie cierpię bowiem książki, przezuwającej wszystko, jak dla niemowlęcia, nie pozosta-

wiającej żadnego pytania czy wątpliwości, więc nie objaśniam np. dlaczego *Wlcra* (rzeka Ucker) »wartką« oznacza (dla zwykłego czytelnika to i tak obojętne), albo skąd *sprostny* urobiono — U. pyta, czy od *postu*? i t. d. *Cxosać* myłka piora zamiast *czesać*, kilka wierszy niżej na tej samej stronie wydrukowano poprawnie, więc uwagi recenzenta zbytne (73). Wylicza on na str. 88 *dotkliwe błędy drukarskie*, ale zaraz pierwszy — fałszywy! mówi «od 1370 do 1270» (str. 5, zam. odwrotnie tymczasem tak ma właśnie być, 1370—1270, ponieważ idę wstecz, od nowszych czasów do końca XIV w., potem od końca XIV do XIII! Jak pijany płotu czepia się U. wszystkiego: przytaczam pierwotną, poprawną formę *pasirzyt* i ostrzegam, że nie *pasożyt* ani *pasorzyt*, zaraz się obrusza (88); każe pisać *źródło*, on broni pisowni *źrodła*, chociaż to całkiem fałszywa, skoro nasza pisownia jest etymologiczna (*Bog*, nie *Bug*) i najdłuższy czas tylko *źródło* pisano (druki jeszcze XIX wieku!). Twierdzą, że złoża jak *parochod*, *listonosz* i t. p. nabraliśmy się z niemieckiego, że kłocą się z duchem językowym — więc hajże na mnie, (str. 88), chociaż zaraz niemożliwy *wodonosz* dowodzi, że i *listonosz* nie lepszy (może być *nosivoda* lub *wodnik*, *listowy*). I tak ciągle: mówię o przyrostku — *dło*, boż jest polski: *my-dło*, a pierwotna jego forma mnie mało obchodzi, więc znowu głupia bura o nic (str. 81); dodałem zaraz *wiosło*, *masto*, boć to pokrewne i przyrostki i formacja cała, a więcej nad linję nie mogłem temu poświęcać! Powiadam, że *oje* swojski wyraz, zamiast *dyszla* — nie mogęż dalej cytować, nie mam miejsca na to, ale U. wsiada: »chcielibyśmy wiedzieć, czy naprawdę *oje* swojskie, jakie jest pochodzenie tego wyrazu, tymbardziej że Słownik warszawski i t. d.» — coż na to powiem? mam cytacji pięć czy sześć, z glos i z glosarjuszów rozmaitych i to mnie wystarcza. Pomijam głupstwa recenzenta przytaczane jako objawienia, np. »teorię sonantyczną« na str. 81 i 82; również nie moja wina, że z pierwotnego *wierch*, t. j. miękkiej półsamogłoski i, r powstało w staropolskim *wirxch* (nie *wirch*, jak fałszywie U. pisze), a to przeszło od XVI w. w *wierxch*. Albo gadanina o Bo-

homolcu, o kaszubszczyźnie i t. d. I tak ciągle aż do obrzydzenia.

Lecz szkoda czasu i atlasu na nulę, jaką pan Ułaszyn na razie przedstawia, pilno mi do prawdziwej powagi, do prof. Baudouina.

Prawdziwą powagę narażam nieco na szwank i wcale tego nie myślę żałować, gdyż nie bawię się w faryzeusze; co prof. Baudouin zasłużył czy zarobił, to mu rzetelnie wypłacę. Tu l'as voulu, Georges Dandin czyli według staropolskiego przysłowia: sam na się kij przynosił.

Bardzo dowcipnie ułożył prof. Baudouin mniemane błędy moje wedle grup: oddziaływanie szkoldliwe na umysłowość; na moralność i t. d. Miałem zamiar istotne błędy prof. Baudouina również wedle rubryk układać: a) niedorzeczności, b) lekceważenie nauki i czytelnika (o autorze, t. j. o mnie naturalnie niema co wspominać); c) nieuctwo grube; d) przekręcania faktów czy słów; e) upor; f) zrzęczenie; g) gadanie na wiatr i t. d. i t. d. Ale coż się okazało? Jedna i ta sama wycieczka prof. Baudouina godziła się stale pod kilka rubryk, należałoby ją chyba pod każdą z osobna powtarzać, a na to szkoda mi było czasu i miejsca. Aby więc wszelkiego powtarzania uniknąć, wystawię w właściwym świetle prof. Baudouina jako «etymologa» najpierw; potem jako «fonetyka»; wkońcu jako «morfologa»; objaśnienia tych terminów znajdzie czytelnik poniżej.

Rzecz o Baudouinie — etymologu wymaga pewnej wzmianki ogólnej. Są znakomici językoznawcy, należał np. do nich mistrz niegdyś prof. Baudouin, August Schleicher, którym etymologja, t. j. wywód

słów, skąd pochodzą, co właściwie znaczą, zawsze obcą pozostała; nie mają dla tej sztuki poprostu zmysłu i nikt im z tego tytułu wyrzutów nie robi. Więc nie jest wcale winą jakąś prof. Baudouina, że nie jest etymologiem, że nie lubi tych «zabawek». Ale, co już gorzej, brak jemu nawet zmysłu dla odroóżniania dobrych, trafnych wywodów innych badaczy od nieudałych. Co zaś najgorsza i co mu już jako gruby błąd wytykam: mimo tego jawnego niedoboru (jaki sam odczuwa), puszcza się na bystre wody etymologii i ośmiesza się sam gruntownie, a kompromituje naukę.

O wywodach etymologicznych, jakie w recenzji mojej książki, czy dawniej kiedykolwiek prof. Baudouin napłodził, wyraził się sam najtrafniej tymi słowy: «w tych dziwacznych wywodach etymologicznych razi wielka pretensja do uczoności w połączeniu z niemniejszą może ignorancją». Użył tych słów przeciw — Słowackiemu (i Mickiewiczowi), — jakbyto, wedle dawnego wierszu, poetom i malarzom nie przysługiwało prawo fikcji, a fikcjami przecież są ich etymologie, niczym więcej. Słowacki, czy jako dziecko w Wallasie Wali Lasa poznawał, czy później w Jadwidze jad widział, żadnej pozy uczonego przytym nie przybierał i nikomu się z tymi fikcjami nie narzucał, szkody nie robił żadnej. Inaczej prof. Baudouin: gada głupstwa i wprowadza w błąd tych, co gotowi mu wierzyć jako znanemu i poważnemu lingwiście!

Na przykład. Wykrzyknik *niestety* wywodzę od *niestojcie* i w całych «Dziejach» najobszerniejszy wywod właśnie temu poświęciłem; na to prof. Baudouin

odpalił: «o wiele prawdopodobniejszy jest wywód *niestety* z czeskiego *něstěti*» (111). «Śmiało, odważnie i bez przytomności» — iście po Baudouinowsku! Wy-mowka, że to przecież Linde tak objaśnia, nie pomo-głaby: co się przed stu laty godziło, dziś już nie uchodzi. Zapomniał prof. Baudouin o najelementar-niejszej regułce etymologicznej: nie należy nigdy wy-chodzić przy objaśnianiu słów od formy ostatniej, najpóźniejszej, bo się pewnie na manowce à la Bau-douin zjedzie. Otoż nasze *niestety* i niestecie jest taką najpóźniejszą formą; nieco dawniej wołano ina-czej, *niestoty*, *niestotano* (urobiono nawet jakąś «*niestotę*», figurującą w słownikach, jako «osoba nieszczęsna», niby jakaś nie — istota; nawet Miklosich dał się nią uwieść); Marcin Bielski mówił jeszcze poprawniej «ach *niestojcie* na ten świat»; w XV wieku wołano jeszcze *niestojcie* na zbrodniarza, schwytanego na go-rącym uczynku i stąd wiemy na pewno, że to *niestojcie* pomyłono z naszego dawnego (i czeskiego) *na-stojcie*, t. j. prześladujcie! gońcie! (jeszcze w psalterzu czytamy: *nastojcie nań i połapcie ji*). Dotarliśmy więc po nici do kłębka i, jak $2 \times 2 = 4$, dowiedliśmy, że na-sze *niestety* to skamieniałość językowa, niezrozumiała (co do swego początku) dla laika, że to dawny roz-kaźnik liczby mnogiej i *nie* wpakowano weń nieopa-trznie. Nie wiedzieć o tym — nie nieszczęście ani wstyd; ale dziś, wbrew prawdzie, wywodzić je z cze-skiego nieszczęścia, to głupota nielada.

Nasze (dziś nieużywane) *rzap*, zbiornik dla wody, wywodzę z niemieckiego *Sumpf*; ten wywód jest ro-wnież tak pewny, jak $2 \times 2 = 4$; *rzap* pisało się bo-wiem pierwotnie *zapiem*; nasze *z* w średniowiecznych

pożyczkach, oddaje niemieckie *s*; w XV wieku często o żumpach po aktach miejskich czytamy (u strycharzy-ceglarzy i t. d. patrz Prace filologiczne VI, 3) na to gada prof. Baudouin: «nie mamy najmniejszego prawa, wyprowadzać *rzqp* od *Sumpf*» (112)! tym razem choć własnym konceptem nie ruszył.

Za prof. Rostafińskim wywodzę *rumianek* z nazwy łacińskogreckiej *camomilla* i t. d. (str. 138) — prof. Baudouin potrząsa na to głową i powtarza z uporem: «nie zapominajmy, że ziele to nazywa się urzędowo: *camomilla romana*» (112) — czyż nazywamy go *rz*ymiankiem? co ma tu *romana* do czynienia? Dawniejsze formy *rumen rumnu* i t. d. wykluczają ją właśnie. Ale na upor nie ma ratunku. Nie pomogłoby też nic, gdyby Akademia kazała ułożyć spis wywodów etymologicznych (jaki prof. Baudouin 120 proponuje); prof. Baudouin zostanie przecież przy swoim uporze.

Miedzy «błędne albo mocno wątpliwe wywody etymologiczne» zalicza prof. Baudouin na str. 110 moje wywody: «*wydrażyć* z dawnego *wydrożyć*»: coż na to poradzę — toż nie jest moim wnioskiem czy domysłem, jest to fakt — w dawnym języku, nawet jeszcze u W. Potockiego, nie ma nigdzie *wydrażyć*, istnieje tylko *wydrożyć*; a taka sama «fałszywa» nosowka jak w *między*, *mieścić*, zamiast *miedzy*, *mieszać*, i t. d. Dalej *Siepraw* z *Swieprawa*, *Swiemir*, *Swiebor* i t. d. poszły z *Wszeprawa*, *Wszemira*, *Wszebora*, jak *szwytek* i t. d. z *wszytek*: wolnoż się prof. Baudouinowi przeciw temu wywodowi, pewnemu jak $2 \times 2 = 4$, upierać — nawet nie wiem przy czym, gdyż milczy o tym dyskretnie.

»Za przykładem wielu innych wywodzi Br. *sumienie* z *sąmnienie* od *sąmnieć się* t. j. wątpić. Tymczasem jest to po prostu dosłowny przekład łacińskiego *con-scientia* = *s-umienie*, podobnie jak czeskie *s-vědomi* albo rosyjskie *so-wiest*». Coż na takie błazeństwo odpowiedzieć? Przecież forma *sumienie* jest dopiero ostatnia z rzędu a już z «niestety» dowiedzieliśmy się, czy wolno etymologowi od ostatniej formy wychodzić. Otoż nie wiem, od kiedy *sumienie* się utrzymało; dawniej, jeszcze w połowie XVII wieku, pisano *sumnienie* (w XVI wieku zawsze tak) a *sumnienie* nie może przecież być *sumieniem*! jeszcze dawniejsza forma (XV w.) jest zaś *sąmnienie* — wywod więc Baudouinowski wart to samo, co ow wywod (Cieszkowskiego) *umysłowości*, z ktorego się prof. Baudouin tylokrotnie natrząsa (niby z *umu* i *słowa*).

«Nie mogę zgodzić się z narzucaniem rdzennej polskości wyrazowi *harowanie* albo *horowanie*, a za jego źródło uważam obszar językowy ruski». (Nb.) Zdziwiłem się, gdzież to i kiedy narzucałem «polskość rdzenną» wyrazowi *harowanie*? Patrę, na cytowanej stronicy mojej książki, ale i tam śladu nie znalazłem; mówię tam przecież wyraźnie, że to jest «termin *kawalkatorski*» (a więc eo ipso obcy, gdyż kawalkatorstwo nie było rzemiosłem polskim!) i dopiero z Polski na Ruś się dostało; dowiodłem też tego w *Pracach Filologicznych* VI, 607 i 608 obszerniej, com w *Dziejach* 143 tylko krotko nadmienil. Nigdyż nie wątpilem o tem, że *harować* jest wyrazem obcym u nas, a że od nas dopiero go Ruś przyjęła — wbrew Karłowiczowi i i., co go z ruskiego wywodzili, całkiem

naprożno, bo niema takiego ruskiego słowa (procz pożyczki z polskiego).

Starża jest *strożą* (to nie moj wywód, lecz Karłowicza, trafny, jak tyle innych tego nieodżałowanego badacza!), a *Warnia* Wronia (*Warnę* = *Wronkę* dodał Kryński). «Według mego przypuszczenia, którego wcale nie uważam za gorsze, *Starża* jest to właściwie *Starza*, pokrewne ze *stary*, a *Warnia*... z *warzyć* i *war*... zyskuje na tem logika i konsekwencja obiektywna» (112). Od kiedy logika na nonsensie zyskuje, nie wiem; tyle tylko wiem, że wywód *Starży* od *starości* jest nim (nonsensem), gdyż niema tu *rz* (jak np. *starzec* się), lecz jest *r—ż*, po łacinie *Starzones*, nie *Starones*! Rownież nie są moimi wywody: *dziecię* od *doić* (dojone t. j. *karmione*); *rataj* od *orania* (*ortaja*, lit. *artojis*); *rdzenia* od *strżenia* i t. d.; są to wywody Miklosichowe, powszechnie dla trafności przyjęte i nie myślę się cudzymi piorami stroić — je zbijać, potrafi tylko prof. Baudouin, etymolog nasz pacanowski.

Przecież i *zaś* powstały z *przed* się i *za* się, nikt o tym nie wątpił. Przyborowskiemu przyśniło się raz, że to są *przed* się i *za* się (*się* dawny zaimek wskazujący), ale nikt, ile wiem, procz prof. Baudouina (z uporu), tego najfałszywszego w świecie wywodu, niemożliwego zarówno ze względów znaczeniowych jak historycznych (forma dawniejsza jest zawsze *za* się), nie przyjął i ja go świadomie odrzuciłem, chociaż o tym nie wspomniałem, gdyż na polemikę nie miałem miejsca.

Wsciornasty, wszystek, pochodzi naturalnie od *wsze*, mamy na to dowody i w znaczeniu i w historii słowa, będącego najdalszym odpryskiem form

jak *wciorki*, *wsztorunki* i t. p. i nikt dotąd o tym nie wątpił: «jabym to zestawil z *wtory*, czeskie *vtery* i z formacją znanych nazw liczebników» (111). Co by tu *wtory* miało do czynienia, nie odgadniesz czytelniku (to znaczy *drugi*, tamto *wszystek!*) i nie kuś się wcale o to — chodzi tu o upor, żeby prawdzie nie przyświadczyć, dlatego tylko, że ja ją napisałem, choć nie ja ją odkryłem, jeśli przy tak jasnej rzeczy o odkryciu mówić wolno.

Że się prof. Baudouin «pod moj wywod *Kołdrąbia* (t. j. *kłodrąbia*) nie podpisze», rozumiem to dobrze (o tym niżej), ale że się ta prawda bez podpisu prof. Baudouina zupełnie obejdzie, również pewne.

«Wątpliwymi są wywody... *dziś* z *dzieńś*, *teraz* z *tenraz* (poprostu z *te-raz*, *te-n* bez *n*), *dopiero* z *topirwo*» (112); co do *dziś* odsyła mnie prof. Baudouin do swoich Szkiców Językoznawczych 431. Wywod prof. Baudouina znałem od dawna, nigdym o nim nie wspominał, dziwiąc się jego niedorzeczności: w *dziś* miała się niby zachować pierwotna forma pierwszego przypadku od *dzień*, niby jakieś *dzi* (*dī*) jak *kamy* (*kamień*) lub *mati*. Wywod ten jest niedorzeczny dla dwu przyczyn. Raz wprowadza w późną polszczyznę formę, zatraconą (jeśliby nb. kiedykolwiek istniała!!) już w cerkiewszczyźnie IX wieku, popełnia więc błąd metodyczny: w językach słowiańskich, w najstarszych nawet dostępnych nam warstwach, staroczeskiej, staropolskiej i t. d., nie ma form pierwotnych, obcych cerkiewszczyźnie, procz wyjątkow, jakie na palcach jednej ręki wyliczysz — cerkiewszczyzna posiada całkowity zapas form starosłowiańskich i zastąpiła nam pod tym względem właśnie niby sam język prasło-

wiański! Drugą przyczynę już znamy: znowu nie wolno od formy *dzis* wychodzić, gdyż to forma młodszą, starsza brzmi *dzińś* z *dzieńś* — niech czytelnik tę formę staropolską *dzińś* dobrze zapamięta, przyda się nam niżej do obalenia innych wywodów Baudouinowych! *Teraz* nie powstało z *te-raz*, taka forma jest niemożliwa (wedle *tydzień*, byłoby chyba *tyraz*); historia znowu swoje prawi, że *teraz* jest forma młodszą, obca zupełnie dawnemu językowi, znającemu wyłącznie formę *tenraz*! Np. w Opeciu z r. 1522 stale *tenraz*, co w egzemplarzu warszawskim młodszą ręką zawsze na *teraz* modernizowała, a prof. Baudouin mógłby o tym wiedzieć, gdyż właśnie jedynego niemal Opecia z r. 1522 między literaturą swych Szkiców wylicza, więc czy nie z uporu o tym przemilczał? Przyznam się, że nie zanotowałem sobie, kiedy się *teraz* po raz pierwszy w drukach XVI wieku pojawia — jeżeli się nie mylę, znachodziłem w nich nawet *ten raz* oddzielnie jeszcze pisane. Że *dopiero* z *topirwo* powstało, o tym wie prof. Baudouin sam najlepiej, jest to przecież ruskie *tiepier*, czeskie *teprv*; czy nie z uporu znowu temu przeczy? Upor byłby niepotrzebny, gdyż to nie moj wywód, lecz ogólnie przyjęty i nigdzie o nim nie wątpią, chyba w Pacanowie; por. i niemieckie *erst*.

Wspomniałem o Szkicach Językoznawczych prof. Baudouina. Powtórzyły one i dwa dawniejsze artykuły etymologiczne autora — nie wiem, w jakim celu; przecież te etymologie są albo fałszywe, albo otwierają drzwi dawno otwarte. Jest tam np. wywód, nie wiem czy żartobliwy czy zazdroszczący Mickiewiczowi Ne-boh-odno-cara, staroruskiego *ryndy* (strażnika,

biej ryndu, z angielskiego *ring the bell!*), ależ to chyba umyślne przedrwiwanie etymologów. Za to całkiem na serjo umieścił tam autor owe niefortunne *dziś* i wywód *starej pani* (podex) z naśladowania łacińskiego *anus* (dwa różne *anus* z inną odmianą, iloczasetem, rodzajem, oznaczają i kobietę i podex). Nawet temu przypuszczeniu możnaby zaprzeczyć, a to dlatego, gdyż *pani stara* jeszcze w XVI wieku (u Kochanowskiego i t. d.) zawsze starszą panią, ochmistrzynią, oznacza i ciągle się tak używa, podczas gdy podex w XVI wieku *grzeszną panią*, *panią grzesnicą*, nazywają, a to już od *anus* znacznie odbiega; wybor *pani* nasuwał się łatwo, gdyż obie techniczne nazwy tej części ciała są rodzaju żeńskiego, mogło się więc i bez łaciny obejść.

Lecz dosyć już tych wywodów nieszczęśliwych — nie wyliczałbym ich tyle, gdyby nie charakteryzowały całej metody Baudouinowej. Nim ją słusznie oszacujemy, przytoczę jeszcze jeden wywód. «*Zamtuz* jest niemieckie *Sammt-haus* t. j. *dom publiczny, wspólny*, w przeciwieństwie do prywatnych mieszkań prostytuttek, uprawiających to rzemiosło na własną rękę» (112). Pomijam naiwne wyobrażenia recenzenta o stosunkach średniowiecznych. Wywodząc *zamtuz* od «*Sammt-haus*», zapomniał o jednej tylko bagatelce, zapytać się kogo, czy też, od kiedy Germanja istnieje, takie słowo słyszano, czy ogółem takie słowo możliwe? *Sammt-haus* byłoby tylko «domem aksamitnym» i niczym innym; istnieje w niemieckim *Gesammt-haus* tylko, w znaczeniu «cała familja» i nic więcej; *zamtuz* zamiast żantusza (*Schandhaus*) niby mazurzy.

Widzi więc czytelnik, o co chodzi. Dla naszego ję-

zykoznawcy fakty, historia wyrazow, wcale nie istnieją; dobre to dla motłochu filologicznego, co w pocie czoła nad takimi głupstwami ślęczy; jeżeli prof. Baudouin z empirejow językoznawczych na nasz marny padół zchodzi i nam wywód słow objawiać raczy, milczcie fakty, nie sprzeczaście się, nie macie racji bytu. I to jest wybitną cechą całej metody Baudouinowej i tak samo objaśnia on wszelakie zjawiska językowe, czy z zakresu wymiany brzmień (czyli fonetyki), czy z zakresu form (czyli morfologii). Przy każdym nieco skomplikowanym zjawisku językowym można niemal z góry przewidzieć, że je prof. Baudouin fałszywie objaśni — dlaczego? Bo każdy proces fonetyczny (głosowy) czy morfologiczny (formowy) miewa za sobą długą historję i tę trzeba brać w rachubę. Prof. Baudouin zaś niema na to cierpliwości; rzuci po wielkopańsku uwagę, pogląd, aforyzm i nie zada sobie nigdy pytania, czy też historia, fakty językowe, z jego słowami się zgadzają czy spierają. Ja, filolog, uważam się za niewolnika faktów: najpiękniejszą teorję, aforyzm, pogląd im poświęcam; prof. Baudouin, językoznawca, nie zniża się do nich, lecz nimi z góry komenderuje. Ale fakty, to bardzo anarchiczne plemię i pod żadną komendę nie idą.

Nauczyliśmy się więc z etymologii prof. Baudouina, całkiem przeciw zamiarom jego, że tak jak on etymologizować — niewolno, że umiejętna etymologia nie znosi takiego anarchicznego myślenia, cechującego prof. Baudouina jako etymologa. Zobaczmyż teraz, czy nie tego samego, znowu wbrew zamiarom, nauczy nas i fonetyk Baudouin?

Fonetyk Baudouin cierpi na ostry *faktowstręt* (niech mi czytelnik ten haniebny nowotwór wybaczy; nigdy

go więcej nie użyję). To znaczy: on ubostwia regułę, normę, takzwane prawo głosowe (choć i żadnych *praw głosowych* niema); fakty, co regule czy normie przeczą, nie istnieją dla niego, t. j. on zamyka na nie oczy, niby struś, co głowę w piasku kryje, i myśli, że tym ignorowaniem już unicestwił fakty. Ja stoję na wręcz przeciwnym stanowisku; najdrobniejszy dobrze zaobserwowany fakt podważa mi najlepszą regułę. Bo coż są reguły czy «prawa głosowe»? nic innego tylko wnioski czy uwagi, wyczytane z obserwowania faktów. Jeśli więc obserwacja była nie zupełna, nie trafna, nie uwzględniała wszystkiego, to i regułka czy «prawo», na nich oparte okażą się mylnymi czy niedostatecznymi. Nie są bowiem fakty dla reguł, lecz reguły dla faktów; historia tasama, co z nosem i tabakierą.

Na przykład. Jest regułka, że język polski zachował «nosówkę» (*a, e, i*); gdzie zamiast nosówki *u* się pojawia, jak w czeskim czy ruskim, to odnośne słowo polskie musi być nie polskie, pierwotne, własne, lecz obce, przejęte z czeskiego czy ruskiego; nie może być więc polskim, np. *ruśnica* (*rusznica*, zamiast *rucz-nica*), musi być wzięte z czeskiego *ručnice*, t. j. *ręcznica*; *porucznik*, *poruczyć* również czeskie, bo po polsku musiałyby brzmieć *poręcznik*, *poręczyć*; *sojusz* jest ruskim, po polsku bowiem byłby *zwęszem*. Że ta reguła fałszywa, domyślił się pierwszy i wypowiedział Karłowicz, co miewał trafne, głębokie pomysły, chociaż dzisiaj należy widocznie do dobrego tonu, znęcać się nad nim — por. artykuł o nim p. Nitscha w Poradniku Językowym, co mi żywo bajkę o lwie i kopnięciu oślim przypomniał. Domyśl Karłowicza szerzej i głębiej wystawiałem nieraz i twierdzę z największą pewnością,

oparty o fakty niezbite, że liczne — nie wszystkie! — formy z *u* są równie polskie jak formy z *q*, *ę*, że np. *wnuk* jest tak samo prapolski, jak *wnęk*; *pukać*, jak *pękać* (por. *śmieje się do rozpuku* i *pęka od śmiechu*, *zcicha pęk* i *zekerzapuk*) i t. d. i t. d.

Dla prof. Baudouina sama myśl o takiej «anarchji» językowej jest niepojęta, jest tylko wybrykiem chaosu, panującego w mojej głowie. Więc pisze (109): «tu zwrócę jeszcze uwagę na *śmiałość*, z jaką Br. nadaje prawo obywatelstwa prapolskiego wyrazom z *u* obok rzekomo tych samych wyrazów z *ę* i *ą*: *wnuk* obok *mo c n o p o d e j r z a n e g o w nęk*, *łuk* obok *łęk*, *pukać* i *pękać*, *nękać* i *nukać*, *chęć* i *chuć*, *nuda* i *nędza*, *smutny* i *smętny* i t. d. Oczywiście to utożsamianie nie wytrzymuje krytyki.» Krytyki nie wytrzymują słowa Baudouinowe, *mo c n o p o d e j r z a n a* jest tylko teoria, co *wnęka*, o podejrzanosc pomawia. Przecież *wnęka* mamy poświadczanego stokrotnie przez wszystkie stulecia, od XV do XX; nawet urzędowo, gdyż książka Groickiego, co stale *wnęka* i *wnęczki* (*wnuczki*), używa, miała znaczenie oficjalne. O takiej oboczności naszego *u* i *ą*, *ę* ogłaszam obszerniejsze studjum w Zeitschrift für vergleichende Sprachforschung, aby zwrócić na nią uwagę lingwistów; do tego artykułu odsyłam prof. Baudouina i jego podejrzenia; popołniam tam najokropniejsze (w jego oczach) herezje; dowodzę np., że *duży* i *tegi* są dublety prapolskie jednego i tego samego słowa, różniące się między sobą jak *graszka* i *igraszka*, *drzazga* i *trzaszka* i t. p. i wyliczyłem setkę takich słów, np. *drag* i *drug*, *gęba* i *guba* (*przegub*), *gruda* i *grędzi* (piersi) i t. d. To «odkrycie», jeśli o odkryciu mówić można przy rzeczy, co się sama przez się rozumie, ogłaszam nie przed

publicznością polską, którą łatwiej otumanić, lecz w organie fachowym bez obawy o zarzuty anarchji i chaosu myślowego!

Prawda, objaśnić tej oboczności na razie nie umiem, ale o to mnie głowa nie boli; to grunt, żeby fakt zaobserwować dobrze, objaśnienie prędzej czy później się znajdzie, a jeśli się nie odnajdzie — i co z tego? czyż my ogółem wiemy cośkolwiek o przyczynach oboczności czy zmian głosowych, jak, dlaczego się odbywają? Wygłosił wprawdzie prof. Baudouin niegdyś odczyt o przyczynach ogólnych zmian głosowych i aż dwa razy go przedrukował, lecz grubo by się zawiodł, ktoby tam czegokolwiek o tych «ogólnych przyczynach» się doszukiwał. Cały odczyt poświęcony bowiem wyłącznie jednemu zjawisku, najmniej ciekawemu, znanemu dobrze od dwu tysięcy lat z okładem (prawda pod mniej modną i mniej uczoną nazwą «eufonji»), którego do zmian głosowych właściwie nawet zaliczać nie wypada. Ani słówkiem nie wspomniał prof. Baudouin o owych istotnie zagadkowych «przyczynach zmian głosowych». Np. dlaczego z prasłowiańskiego *swietja* powstaje polskie *świeca* a bułgarskie *swieszta*, dlaczego nie odwrotnie; dlaczego *świeca*, a nie np. *swieja*, co byłoby wynikiem równie naturalnym, jak *świeca*; dlaczego ogółem rozdwojenie tego rozwoju (wziąć inne języki słowiańskie, to aż w czteru rozmaitych kierunkach rozwój się odbył); dlaczego nie jednolity, dlaczego ogółem powstał — mogłoż się całkiem bez niego obejść, jak np. w litewskim, gdzie jedne narzecza *tj.* w *czj* mieniają niby jak my, drugie *tj* zatrzymują niezmienione. I takich pytań są setki i tysiące i na żadne z nich umieję-

tność dotąd nie znalazła odpowiedzi. Odpowiedzi dawano nieraz, ale całkiem fantastyczne. Np. o pranie-mieckim przesuwaniu spółgłosek (*g, d, b, w k, t, p* itp.) powiedziano, że przyszło do niego, gdy Germanowie z równin na góry się dostali i zmuszeni do silniejszego wydychania owe spółgłoski, «silniej» wymawiać poczęli, ale to żarty chyba, choć je bardzo na serjo traktowano. To świeże stosunkowo żarty, ależ np. różnicę między mniemaną «ostrością» narzeczy doryjskich, a «łagodnością» jońskich (choćż źródło ich spolne, pragreckie), upatrywano zawsze w warunkach klimatycznych, w surowości gorskiej i łagodności morskiej — tylko, że nie narodził się jeszcze ten fizjolog, coby w samym przyrządzie fizjologicznym mowy gorskiej i nadmorskiej jakichkolwiek dopatrywał się różnic. Jak i dlaczego wyłoniło się tyle rozmaitych języków romańskich z jednej w gruncie łaciny, i to do zagadek należy — więc o przyczynach ogólnych tych zmian i mówić nie możemy; jedyna znana, ułatwianie artykulacyi, tłumaczy nie wiele; druga, nieskończona różnorodność indywidualna wymowy, sama już nieco zagadkowa. Żeby mnie zaś czytelnik nie wtajemniczony nie pomawiał o przesadę (prof. Baudouin wie najlepiej, że nie przesadzam, nie dla niego to piszę), więc przytoczę słowa znakomitego lingwisty, Delbrücka: «widzimy, że o jakiejś wiedzy na tym polu na serjo i mowy być nie może»; pisał on te słowa wprawdzie w r. 1893, ale odtąd nie postąpiliśmy dalej, mimo prac Wechslera, Herzoga, R. M. Maiera i i. Jedyne, co się przypuszcza z uzasadnieniem, jest to (wedle tegoż samego Delbrücka), że «przemiany głosowe zawisły po największej części od pewnych przy-

czyn, działających ogólnie, nad którymi indywiduum niema władzy»; dalej, że te przemiany działają mechanicznie, bezwiednie niby; że podpada im albo wszystko, że przekształcają cały odnośny ustroj językowy, albo że działają tylko sporadycznie, tu i owdzie (np. przestawki — przykłady niżej; skracania; elizje — wyrzutnie i t. p.). Dalej, że działają tylko do czasu, że więc nie powtarzają się ani odnawiają (np. tylko pierwotne *kie* przechodzi w *cz*: *pieką*, *pieczesz* — z *piekiesz*, ale nowe *kie* pozostaje niezmiennione, *wielkie*); że odwrotnie ten sam język w ciągu wiekowego rozwoju wręcz przeciwnych kierunków dopuszcza (np. praojcowie nasi nie znosili spółgłosek na końcu słów czy zgłosek, nie przepuścili nawet niewinnemu *s*, *niebo* ale greckie *nefos*, *maci* ale łacińskie *mater*, *osa* drzewo ale pruskie *apsa*; my dziś i czteru spółgłosek, w nagłosie, np. *pstrąg*, *skrwawić*, i w pogłosie, np. *rycerstw*, *państw*, się dopuszczamy). Zmiany te wszystkie odbywają się przeważnie nadzwyczaj powoli, nieznacznie; dopiero sumowanie tych «odchylek» stanowi znaczną pozycję. Oto i wszystko niemal, co o przemianach głosowych powiedzieć można.

Przesuwa się więc dotąd językoznawstwo tylko po powierzchni zjawisk, nie sięga ich głębi, nie zna ich przyczyn; jest na razie dyscypliną wyłącznie opisową. Nic łatwiej dla niej, jak wykazać drogę, następstwo, fazy procesu, wskutek którego np. prąsłowiańskie *swietja* przeszło w polskie *świeca* t. j. połączyć obie dane — tylko dla czego to się w tym, a nie w innym kierunku odbywało, jak do tej zmiany przyszło, na to odpowiedzi dotąd niema. I dlatego mogłem przedstawiać dzieje języka polskiego zupełnie opisowo, śle-

dząc przebieg ich zewnętrzny, namacalny, nie wdając się w żadne badania przyczyn, związków, następstwa i t. d., w żadne uogólniania «praw językowych», pozostawiając innym wypełnienie tego zadania; na moich dziesięć arkuszy miałem i tak materiału aż nadto. Lecz wracam do prof. Baudouina.

Zauważył może czytelnik, jak grzecznie prof. Baudouin wyrażał się o moich poglądach (co do *u* obok *a*, *e*), «nie wytrzymujących krytyki»; widocznie, zmęczyły go połajanki i wymyślenia, jakimi mnie przedtem obdarzał. Np. rozprawiam o znanej przestawce polskosłowiańskiej płynnych, o naszym *brzeg*, *mleko*, *woda*, *krol* wobec niemieckiego *Berg*, *Milch*, *Bart*, *Karl*; litewskie *galwa*, nasze *głowa* i t. d. — pieni się prof. Baudouin 107, że mieszam przytym słowa przyswojone i własne, ale dlaczego się pieni, nie wiem, gdyż dla tej przestawki to obojętne: każde, czy obce, czy własne słowo, ulega jej do IX. wieku, potem jej już niema. Otoż, jak przy *e*, *a*, obok *u*, tak i tu, w języku polskim, obok form przestawionych, *ro* z *or*, pojawiają się i nie przestawione, *ar* z *or*; w języku polskim ich mało, ale są, np. *starża* obok *stroża* (obie z pierwotnej *storży*), *karwa* w imionach własnych obok *krowa*, *Warcisław* obok *Wrocisław* (*Wrocław*); w dawnej polsczyźnie było tego więcej, np. *Dargorad* obok *Drogorada*; w kaszubskim narzeczu jest tego jeszcze więcej, tam mówią obok *brody*, *bardawka*; obok *chronić* jest i *charna*, obok *grod* i *gard* w imionach własnych, obok *prog* i *parg*; jeszcze więcej takiego *ar* było u dalszych sąsiadów, pomorskich i załabskich, chociaż i ci Załabianie mieli i *ro* obok *ar*, np. *broda* obok *starna* (strona) i t. d. Oto fakty

niezbite, znane albo powszechnie (co do Załabsczyzny i Kaszubsczyzny), albo po raz pierwszy (w polsczyźnie) wykazane przez Karłowicza (a w dalszym ciągu dopiero przezemnie). Coż na to prof. Baudouin?

«Tak twierdzi Br. a ja pozwolę sobie dodać: co najdziwniejsze (przytym), że współczesny uczony — może bez zająknięcia się wypowiadać podobne — jakby to powiedzieć — niemożliwości logiczne. W Archiv etc. 26, 366 wyłożyłem własne zapatrywanie się na owe dublety *broda* i *barda*, którymi to dubletami potrząsa tryumfując Br. dla poparcia swej teorii anarchistycznej» (104).

Tak twierdzi prof. Baudouin, a ja pozwolę sobie dodać, że czytałem dawno owe wywody prof. Baudouina o tych dubletach i dziwiłem się, jak współczesny uczony i to uczony skądinąd istotnie niepospolity, mógł bez zająknięcia się wypowiadać podobne — jakby to powiedzieć? — niemożliwości faktyczne, lecz zbijać ich tu nie pora.

Dowiodłem więc i coraz dowodzę, że »z tych samych źródeł historycznych, przy tych samych najzupełniej warunkach w tym samym języku« mogą istnieć jednocześnie i równorzędnie z jednej strony formy *broda*, *krowa*; *wnęk*, *pęk*; *lutość* *Lubiąż*; z drugiej zaś strony *barda*, *karwa*; *wnuk* *puk*; *litość*, *Libiąż*, niby tak, jak w tym samym polskim języku jednocześnie i równorzędnie istnieją *żaba* i *zaba* i *zielazo* i żaden protest prof. Baudouina przeciw temu chaosowi i bezprawiu nic nie pomoże. Ci sami ludzie (»te same głowy jednakowo ujęzykowane«), co bez trudu wymawiali zawsze *widły*, *skrodlić*, *podły*, *upodlić*, wymawiali jednocześnie i równorzędnie *moglić* zamiast *modlić* i *mgły*

albo *młdy* zamiast *mdły*; ponieważ ja takich faktów, nasuwających się ciągle uważnemu badaczowi, nie ukrywam, lecz je wyjawiam, zaliczył mnie prof. Baudouin w anarchisty myślowe. Gorsza to anarchja, co narzuca językowi jednostajność, jakiej on nie zna.

Ale wszystkie zarzuty, jakimi mnie dotąd traktował moj przeciwnik, nikną wobec następnego, istic monumentalnego — na razie rzeczownika nie dodaje.

Rzecz ma się tak. W polszczyźnie ulegają przed twardymi *t, d, ł, r, n, s, z*, przegłosowi, pierwotne *ie* (z długiego *e*) w *ia*, *bielić* — *biały* a pierwotne *ie* (z krótkiego *e*) w *io*, *Pietrze* — *Piotr*. Dotąd twierdzono, że oba te przegłosy nastąpiły równocześnie w jakim XI do XIII wieku. Ostatni, co o tych przegłosach pisał, acz nic nowego nie dał i owszem stare błędy powtarzał, Ułaszyn, wychodzi również z tego zapatrywania. Zakwestjonowałem je; na podstawie silnych poszlak, przykładów w innych językach i t. d., przyszedłem do przekonania, że oba przegłosy (*ie* w *ia* i *io*) nie są spółczesne, lecz czasowo się różnią, całymi wiekami od siebie są przedzielone; że Polacy (podobnie jak Załabianie, jak Słowianie soluńscy i niektorzy bułgarscy), w tym samym wieku t. j. osmym i dziewiątym, przegłosowali długie *ie* w *ia*; że Polacy dzielą z Bułgarami to *ia* zamiast *ie* (pienienie się prof. Baudouina przeciwko tym słowom moim jest zupełnie bezzasadne, gdyż ani mi się śniło, twierdzić, co on mi podsuwa, jakoby Polacy i Bułgarzy *spólnie* ten proces odbyli, w *związku historycznym*, przecież w VIII i IX wieku nie było żadnego związku między Polonją a Bułgarją; proces powtarza się tu i tam czysto przypadkowo, dzielą go Polacy i Bułgarzy przypadkiem). Dopiero

gdy ten proces ten, pierwszy przegłos długiego *ie* w *ia*, dawno się ukończył, przyszła kolej na ow drugi przegłos, jaki Polacy z Rosjanami dzielą (w warunkach nieco odmiennych, które ja dobrze przedstawiłem ze względu tylko na język rosyjski literacki, nie na narzecza, co mnie wcale nie obchodziły, więc polemika o to prof. Baudouina 115 jest bezcelowa, jak każda inna, szukanie zaczepki tylko): przegłos *ie* (powstałego z krótkiego *ie*), w *io*. W *Dziejach Języka Polskiego* krótko to zaznaczyłem, dla braku miejsca; obszernie wyłożyłem wszelkie argumenty za i przeciw w *Pracach Filologicznych* VI, 586 – 596. Naturalnie, mogę się mylić, ale np. prof. Kryński natychmiast tym wywodom przyklasnął i w recenzji gramatyki polskiej Steina—Zawilińskiego (w *Książce warszawskiej*) stanowczo się za moją chronologją obu procesów oświadczył. Coż na to prof. Baudouin?

«Kierując się wyłącznie subiektywnością i nie uznając hamulca w samym przedmiocie badanym, dokonywa Br. *nieświadomie* rzutow własnego myślenia na rzeczywistość badaną i opisywaną... *pomyślawszy najprzód* o przejściu historycznym *e* w *a* a *potym dopiero* o podobnym, ale innym przejściu historycznym *e* w *o*, *tworzy* Br. z tego obiektywne następstwo historyczne i głosi z niewzruszoną pewnością» (następuje streszczenie mego poglądu).

Cóż powiedzieć na takie — głupstwo? To, czego doszedłem (czy trafnie, czy nie, to inne pytanie), na podstawie sumiennego i wszechstronnego badania, ma być *nieświadomym* rzutem mego myślenia na fakty! Czy można pomyśleć gorsze lekceważenie pracy obcej? Ależ prof. Baudouin na ten zarzut się roześmieje; prze-

cież wszystko, co tu pisał, pisał tylko w celu obniżenia mej pracy; więc z pięknej roli swej tym razem nie wypadł.

Teraz kilka przykładów, jak nasz antropofonetyk pojmuje niektóre zjawiska fonetyczne.

«Oznaczanie nosówek przez *an* a należy objaśniać nie owczesną przewagą brzmienia *a* (nosowego *a*), ale tylko naśladowaniem pisowni czeskiej. W czeskim języku bowiem w wielu wypadkach sama głoska *a* tkwiła w wyrazach, którym odpowiednie polskie zawierały tę lub ową nosówkę. Również za przykładem czeskim probowano nosówki oznaczać za pomocą *u* lub *un*, *Sudomir* lub *Sundomir*» (114). Gadałina ta miałaby jakiś cień prawdopodobieństwa, gdyby np. Polacy pisali *światy* (lub *świanty*), dlatego, że po czesku *svatý*, a *ruka* lub *runka*, dlatego że po czesku *ruka*, ale ponieważ tego nigdy nie ma, ponieważ piszą zawsze tylko *ranka* lub *raku*, więc nie przyjęli tego *a* (*an*) pod wpływem pisowni czeskiej; dlaczegoż nie piszą nigdy *swieć* lub *świencić*, wedle czeskiego *světiti*? dlaczego zawsze tylko *swia(n)cić* a nawet *swiuncić*? *U*, *un* piszą niektóre rękopisy niemal stale, w końcówkach szczególnie, ale to pisownia fonetyczna, nie czeska! Nie dziw też, że prof. Baudouin przeczy przetrwaniu dawnego nosowego *a* na Śląsku i t. d. «moim zdaniem owo *a* nosowe należy uważać za wytwor późniejszy a pierwotnymi były w dawnej polszczyźnie tylko *ę* i *ą*» (105). Ależ wiemy z wyrazów obcych, np. z *wędrować*, że *ę* dopiero z dawniejszego *a* nosowego powstało, z *wandern* i t. d.

«Formy *w Polsce* nie można wcale uważać za normalną. Przecież nigdy nie było *w łascze* i t. d.



Forma więc ta zawdzięcza początek oczywiście jakiemuś nieporozumieniu, może przyswojono ją ze wschodu, z obszaru językowego ruskiego, a może znowu utrwaliła się ona dzięki błędnemu przeczytaniu napisanego, na podobieństwo *Wandy*, *Wawelu* i t. p.» (113). Co za naiwne niedołęstwo! *Wandę* czytano tylko w kronikach łacińskich i zachowano ją tak, ależ gdzież czytano *w Polsce*? czy też w kronikach łacińskich? Albo jak wyobraża sobie autor wpływ ruski u pisarzy, co nigdzie śladu rusczyzny nie znają, np. u Reja i innych pisarzy XVI wieku, używających stale formy *Polszcze*? Niżej powiem, jak *Polszcze* tłumaczyć można.

Wedle danych historycznych przedstawiłem stosunek *kropli*; dawny język zna wyłącznie formę *kropia*, *kropła* występuje później i nie widzę najmniejszej przyczyny, odwracać to następstwo historyczne, uznawać w *kropli* przeżytek ogólnosłowiański, a w *kropi* nowotwor (!czyż i *kupię* np. to nowotwor, wedle *kupisz* i t. d., zamiast pierwotnego *kuplę*?), tymbardziej, że nowotworów a la *kropła* mamy w języku dosyć, nawet np. *śmlady* zamiast *śmiady* t. j. *śniady* — dlaczego to ma «należać do form i wyrazów zagadkowych» (113), nie rozumiem — czy to nie kaprys prof. Baudouina? w dawnych tekstach mam *śmlady*, nawet *pośmledzieje* i zagadki dopatrzeć się nie mogę.

Co się z regułą przegłosową (*ie-ia*, *ie-io*) nie zgadza, temu zaprzecza prof. Baudoin rację bytu, więc *wierę* (zaprawdę) «było naśladowaniem czeskiego *věru*, które dla Polaka wydawało się czymś pośrednim między *wiarę* a *wierzę*» (114) — przyznam się, że mam za głupi, żeby taką lingwistykę rozumieć, i obstaję przy twierdzeniu, że Polak mówi *wierę* przeciw regule,

tak jak *powiedać*, *Pieskowa Skala* i t. d., nie *powiadać*, *Piaskowa* i t. d.; że więc regułę przegłosową inaczej nieco sformułować należy. «Podobnie najczystszyimi czechizmami są spotykane w Bogurodzicy formy *ślawiena*, *zwolena* zam. *ślawiona*, *zwolona* (115). Prawdopodobnie prof. Baudouin przypuszcza, że nonsens powtarzany w prawdę przechodzi; twierdzenie bowiem, że owe *ślawiena* i t. d. są czechizmami, dawno jako nonsens odrzucono. Raz dlatego, że żadnej czeskiej «Bogurodzicy» nigdy nie było (wiemy to na pewno!); powtore zaś: gdyby przerabiacz mniemanego, nie istniejącego jednak wzoru czeskiego zatrzymał najniepotrzebniej owe rażące czechizmy, byłby i inny jaki czechizm zachował, a żadnego innego czechizmu w Bogurodzicy niema — więc uważam *ślawiena*, *zwolena*, jak i prof. Kryński to czyni, za archaizm, w pieśni uroczystej bardzo «na miejscu», a są w niej i inne rażące archaizmy, np. *dzieła* zamiast *dla* i *Bożyc* zamiast *syn Boży*.

«Na dążność do ułatwiania wymowy, do skracania form, które przez to skracanie nie tracą nic na swej wyrazistości, patrzy Br. jako na objaw lenistwa. *Równym prawem* moglibyśmy uważać za objaw lenistwa: wprowadzenie listów i telefonów zamiast odwiedzin, zastąpienie wędrowki pieszej końmi, parą, elektrycznością i t. d.» (101). Jest to znowu tumanienie czytelnika. Jeżeli powiem *dość* zamiast *dosyć* a to zamiast *do syci*, to nie równa się takie skracanie zastąpieniu np. łojowki gazem lub elektrycznością; to są całkiem odmienne materje świetlane, *dość* zaś jest ta sama łojowka, co *do syci*, tylko że na nią mniej łoju spostrzebowano! Zawsze przypominam sobie przy-

kład starego Whitney'a, co podobne procesy, skracania wszelkie, wyrzutnie tak tłumaczył. Ma człowiek row przed domem i codziennie go kilkakrotnie przeskakiwa; z opieszałości, lenistwa, bierze za mały rozpęd i wpada do rowu. Gdyby podobna opieszałość w artykulacji głosowej podobne za sobą pociągała skutki, zmian w języku byłoby mniej! Oszczędzanie trudu i czasu dla mówiącego i słuchającego mogę śmiało nazwać wygodką; nie chce się poprostu tyle mówić, tyle słuchać, dość mniejszego wysiłku; najpewniej chyba jakiś leniuch zawołany *dosyć* zamiast *dosyć* powiedział pierwszy albo *trza* zamiast *trzeba*, *teraz* zamiast *ten raz*, *Bodaj* zamiast *Bogdaj*: a może mi prof. Baudouin i temu wywodowi zaprzeczy, jak zaprzeczył owemu *teraz* z *tenraz*? Po nim wszystkiego spodziewać się mogę, więc dodam, że *bodaj* w młodszych drukach *bogdaj* dawniejszych zastąpiło; forma to bardzo ciekawa, nietylko dla 3. osoby rozkaznika, lecz dla *o*, nie *bódaj*, *bógdaj*, por. *pomy* z *pójdźmy*! Kapryśność, nieobliczalność języka i tu się objawia, *Bogdaj* skrocono na *bodaj*, ale takie długie *pomaga(j)bog* skroceniu nie uległo, chociaż go każdy Polak przez liczne wieki i kilkanaście razy dziennie używał. *Niech będzie pochwalony* istnieje bowiem dopiero od XVIII w.; przed tym witano się tylko *pomagabogiem*, aż dworza nie Zygmuntowscy *Służbę* dla witania się, ku zgorzzeniu starych ludzi, w drugiej połowie XVI wieku dla szlachty wprowadzili; inni Słowianie *pomagabog* przydługie przecieź obcięli (*pomhaj*). I tak bywa ciągle, skracają (np. w XVI i XVII wieku nawet w języku literackim) *szubienica*, *pszenica*, *szklenica* na *szubieńca*, *pszeńca*, *szkleńca*, ale innych na *nica* nie tykają.

Lecz dosyć tej fonetyki. Czytelnik dostrzegł chyba zasadniczej różnicy między moim, a stanowiskiem prof. Baudouina; ja «stworzyłem sobie język na obraz i podobieństwo swoje, widzę w nim jedynie grymasy, kaprysy, niekonsekwencję, nieobliczalność... jaki twórca, taki też i utwor» (103); w moim przekonaniu «zarówno język, jako też nauka o nim mogą się trzymać jedynie nierządem czyli anarchją; chaos, bezprawie, oto wszystko, czego mogę się dopatrzeć w języku i językoznawstwie» (103). Tak twierdzi prof. Baudouin. Przyznając się skromnie do tych win, dodam na usprawiedliwienie własne, że jestem tylko filologiem-polonistą, alem z niejednego pieca, i z lingwistycznego, chleb jadł i potrząsanie lingwistyką mnie nie zstraszy. Jako filolog zbieram i porządkuję materiał, służący lingwiście za podkład do uogólniań, do wniosków; faktów nie zmyślam; czego w języku dostrzegłem, to podaję, nie pytając, czy ten materiał lingwiście się podoba, czy mu «pasuje» czy nie; jeżeli mi lingwista samym faktom przeczy, to przechodzę nad przeczeniami jego najspokojniej do porządku dziennego i żartuję sobie z dąsań jego na anarchizm, kaprysy czy susy, za które język odpowiada, nie ja.

W książce mojej w żadną polemikę się nie wdawałem; podawałem nawet wywody świeżo przeze mnie zdobyte, bez najmniejszego ostrzeżenia, że to nowe t. j. odmienne od popłacających, np. twierdzenie (właściwie domysł), że przegłosy polskie *ie-ia* i *ie-io* nie są społeczne, lecz różnią się znacznie czasowo. Tępogłowy Ułaszyn nawet nie dostrzegł, że w krociutkim moim ustępie o tych przegłosach powiedziałem więcej nowego i ważniejszego, niż on na wszystkich 90 i kilku stro-

nicach swojej rozprawy. Naprożno odsyła mnie prof. Baudouin do swych rozpraw, jakbym ich nieznał: właśnie dla tego, że je znałem, przedstawiałem rzeczy odmiennie całkiem, widząc błędność uwag Baudouinowych, chociaż o tym nie wspominałem. Zaraz niżej przytoczę przykłady, tu tylko jeden, śmieszny, przedstawię. O słowie *pchła* twierdzę (72), że «przestawiliśmy je z *błcha*; nazwy Bleszyn, Bleszyński zachowały pierwotną formę». Tyle tylko i dobrze, chociaż wiedziałem, że prof. Baudouin nie tak tę formę objaśnia: odmiennie, lecz źle. Tosamo krociołkie objaśnienia, nie mając więcej na to miejsca, zaznaczyłem wszakże popularnym p. t. «Z dziejów języka polskiego» (1903): «z *błchy pchłę* zrobiono». Pisząc recenzję tego szkicu, w Izwiestijach akademji petersburskiej XII, 2, 490 (1907), utknął na tym Ułaszyn: «wspomnę o objaśnieniach... *pchła*, co i prof. Baudouin w pięknym szkicu popularnym i. t. d. objaśnia... I to nazywa się objaśnienie! (przytoczywszy moje słowa wykrzyknął recenzent). Całkiem inaczej u prof. Baudouina; u niego znajdujemy piękne, pouczające objaśnienie». Ponieważ głowa Ułaszyna zbyt tępa, jak widzę, muszę mu sam wyłożyć, dla czego to «prekrasnoje» objaśnienie prof. Baudouina jako fałszywe odrzuciłem i przy moim obstaję.

Pierwotne *błcha* przedstawiliśmy w *bchła*, tak jak np. *drzwi* z *dwrzi*, *zgło* z *gzło*, *młdy* z *mdły*, *olsnąć* z *oslnąć*, *oklnąć* z *oklnąć*, *ułgnąć* z *uqlnąć*, *pulchny* z *puchlny* i t. d. powstały (nb. cała ta rubryka tylko do «kaprysów językowych» się odnosi — mimo protestu prof. Baudouina). *Bchła* przestawiona naturalnie wymawia się *pchła*, gdyż przed głuchą *ch* i *b* głuszeje; lud miejscami mówi *pcha*, drugi przyp. l. mn. *pchow*. Zdrobniałe było

zawsze *bleszka* (por. *bleszne ziele*); jeżeli w XVI i XVII w. znajdujemy *pleszki*, to wywołała to *p pchła*. Ten moj wykład jest jedynie trafny.

Prof. Baudouina «prekрасnoje» objaśnienie wychodzi zaś od formy *plcha* i uczy, że między dwiema głuchymi (*p—ch*) i *ł* musiało być głuche i t. d. i t. d.; wszystko bajka, bo skądżeż wzięłaby się forma *plcha*, skąd jej *p*? Wychodzi więc prof. Baudouin od niemożliwej formy; cały jego wywód jest przeto poroniony, a nie «prekрасny». To bagatela, ale charakterystyczna dla moich pp. recenzentów, co z mego milczenia wywodzą, jakoby nie znał zapatrywać ich odmiennych a fałszywych.

Z fonetyki więc prof. Baudouina również mało korzystać mogę, jak z jego etymologii; w szczegółach ona stale zawodzi, chociaż nie przeczę, że jego uogólniania o alternacjach i korespondencjach i t. d. można z pożytkiem odczytywać; ja w nich nie bardzo gustuję; mnie odstrasza już sama terminologia, co innych właśnie przywabia — byliż np. niegdyś w Moskwie ludzie, opowiada o nich Herzen, co nie mogli poprostu powiedzieć, chodźmy na spacer, lecz używali na to transcendentalnej terminologii Hegelowej. Zobaczmyż, co skorzystamy z uwag prof. Baudouina o formach, o morfologii.

Niejednej nie zrozumiałem wcale, np. na stronie 115: «Utrzymując, że *musiec* powstało z *musić* wedle *cierpieć*, nie rozróżnia Br. dwu różnych czasowników, czynnego *musić* (*przymusić*) i nijakiego *musiec*». Nie wiem, co to ma znaczyć? ja twierdzę, że był tylko jeden jedyny czasownik *musić*, jak np. *myśleć*, gdyż żadnego *musiec* ani *myśleć* język dawniejszy nieznał;

to są dopiero nowotwory późne i późne jest też rozróżnianie ich znaczeń — czyżby o tym zapomniał prof. Baudouin? Ależ u tego lingwisty wszystko może-bne, jeśli się na kogoś zawezmie.

Nieprawidłowe formy *nasi*, *starsi*, *młodzi* i t. d. objaśniam tym, że chciano w nich uwydatnić *i* arystokratyczne, więc poświęcono ich *sz* nowemu *ś* — należało raczej powiedzieć, że chciano tym jedynym możliwym sposobem odrożnić liczbę mnogą od pojedynczej, *starszy panowie* od *starszy pan*, ponieważ nigdy nie spadają się obie liczby w rodzaju męskim. Na to prawi prof. Baudouin (101): «Zupełnie przewrotnie objaśnia Br. te formy... jak zaś według mnie należy objaśniać ten proces psychofonetyczny, wyłożyłem w rozprawie i t. d. § 120». Ależ znałem ten wywód i nie przyjąłem go umyślnie, bo jest z gruntu fałszywy. Wedle prof. Baudouina zastąpiło bowiem *nasi* dawne *naszy*, «bo spółgłoska *ś* jest poczuwaną jako *cecha charakterystyczna właśnie tego przypadku* od tematów, których spółgłoską ostatnią jest albo *s* albo *sz* albo *ch*». Ależ to wierutna bajka; formy *młodzi* i t. p. pojawiają się bowiem dopiero w XVII i XVIII w., t. j. dopiero wtedy, kiedy spółgłoska *ś* przestała być od wieków cechą charakterystyczną tego przypadku od tematów na *s* (na *sz* nigdy nią nie była — to tylko nieuwaga prof. Baudouina!). Już od wieków znano tylko (u rzeczowników) formy jak *włosy*, *nosy*, *głosy*, *pasy*, *lasy*, *wrzosa*, *lisy* i t. d.; *ś* istniało całkiem wyjątkowo, *sołtysi*, *psi*; nie było go nawet dla *ch*, nie mowiono w XVI w. *mnisi*, jak *Włosi*, lecz *mniszy* (por. *głuszy*, *ciszy*, nie *głusi*, *cisi*, *musze* nie *muse*! ztąd możnaby i w *Polsce*, por. *polcszy* zamiast *polscy*, może zrozumieć!); nie mogło więc *ś* nigdy być cha-

rakterystycznym dla liczby mnogiej i cały wywód prof. Baudouina, jako mylny, niehistoryczny, upada.

Nawet w przymiotnikach nie lubiano tego *ś*; są wprawdzie *bosi*, *łysi*, ale znajdziesz i *szy* — patrz wyżej — i *sy* (czytałem tylko *rusy*, nie *rusi*). Moje tłumaczenie jest jedynie trafne, chodziło o *i* liczby mnogiej, nie o *ś*. Prof. Baudouin bowiem wedle znanego nam trybu swego znowu nie poradził się historii i wysunął *nasz-nasi* na czoło procesu, gdy ono na sam koniec jego należy. Historia-filologia uczy bowiem, że np. *nasi* pojawiają się dopiero u Lesczyńskiego i u Drużbackiej (Kalina str. 285), tymczasem już u Opalińskiego (Satyry 1652, str. 92) czytam *starsi* a z Kochowskiego przytacza Kalina str. 324 *dużi* i *bliszi*. Widać więc, o co właściwie poszło; zależało mówiącym na tym, aby rozróżniali l. mnogą od pojedynczej, *starsi* od *starszy* wedle wzoru gotowego: *mili-miły*, *tłuści-tłusty*; *nasz* zaś i *naszy* różniły się dostatecznie, więc nie przy nich mógł cały ten proces powstać; poszły one dopiero za *starsi*, *młodzi* — najlepszy dowód, jak przy takich objaśnieniach ze wszystkim liczyć się należy. Wywód więc prof. Baudouina odrzucam i po owej admonicji stanowczo, jako całkiem mylny.

«Antychronologicznie objaśnia Br. stosunek form *matk*, *ławk*, *łakomc* do *matek*, *ławek*, *łakomiec*, jako-byśmy od dosyć dawna ułatwiali wymowę wstawianiem ruchomego *e*; proces to późniejszy. Wcale nie. Powstały formy *matka*, *ławka*, *łakomca* i t. p., ale (obok nich były) *matek*, *ławek*, *łakomiec*. Jeżeli później zjawily się *matk*, *ławk*, *łakomc*, to tylko dzięki analogji i dzięki danemu, gotowemu wówczas stosunkowi *łaska*: *łask*, *puszcza*: *puszcz*. Owe *matk*, *ławk* i t. d. zni-

kają z gwar, w których we wskazany sposób powstały, dzięki oddziaływaniu innych gwar sąsiednich, które zachowały pierwotne *matek* i t. d., a zwłaszcza dzięki oddziaływaniu języka literackiego i ogólnie-polskiego». Niestety, ja to wszystko w bajki włożę. Najpierw łowię naszego lingwistę na dziwnym błędzie metodycznym: od kiedyżto działa język literacki na formy gwarowe? Język literacki (ogólniepolski) działa na słownik, na składnię gwarową, ale nie działa ani na jej głosownię ani na jej formy; te każda gwara zachowała swoje, jeżeli ogołem nie ginie (np. pod wpływem szkoły w młodszej generacji). I mnież, filologowi, pouczać lingwistę o takiej trywialności! Oto np. mazurówie pruscy (ewangelicy) słyszą w kościele od wieków i czytają w swoich modlitewnikach o *Wieczerzy* Pańskiej, o chlebie i *winie*, a mimoto prawią sobie najspokojniej o *zicorze* i *zinie*; gwara, poki jej szkoła (a u naszych chłopków, u Kaszubów i t. d., szkoły nigdy nie było!), nie poderwie grunt pod nogami, djabła dba o język literacki — i to nie u nas tylko, lecz na całym świecie. Wie to prof. Baudouin lepiej ode mnie, mimo to odeślę go pod tym względem do słów Morfa o rozprawie Gauchata, *L'unité phonétique dans le patois d'une commune*, w *Archiv für das Studium der neueren Sprachen* etc. CXV albo do referatu Beera w *Wierniku akademji praskiej* XVI z r. 1907, luty.

A jest to sprawa zasadniczej wagi, bo np. właśnie mniemanym wpływem języka polskiego na kaszubszczyznę (wpływem, którego nigdy nie było!) chcieli niektórzy uczeni z kaszubszczyzny wszystkie polskie jej cechy (np. *krowę*, nie *karwę* i t. d.) wyeska-

motować*), co im się jednak nie udało. Skonstatowawszy więc, że o oddziaływaniu «zwłaszcza języka literackiego» i gwar sąsiednich, mowy być nie może, wracamy do owego zjawiska, do *matk*, *łakomc* i t. d. Dlaczego nie piszę się na twierdzenie prof. Baudouina, że te formy «poźniej się zjawily»? Fakty mówią mi coś wręcz przeciwnego; z nich odbieramy wrażenie, że prastare formy *matk*, *łakome* znikają z czasem z polszczyzny, że zachowały się najpełniej w kaszubszczyźnie jako staropolskim narzeczu. Weźmy np. ow przywilej gnieździeński z r. 1136, owę złotą bulę języka polskiego — zna ją prof. Baudouin dobrze, lecz nie umie z niej korzystać. Otoż w tym najstarszym zabytku języka polskiego, mieszącym niestety same pierwsze przypadki, znajdujemy formy później niemożliwe, a więc *Reck* t. j. Raczk (pisane i *Razc* i *Rezce*), *Sodlc* t. j. Siodłk, *Plastc* t. j. Płastk, *Crusc* t. j. Kruszk, *Redonc* t. j. Radonk (Radonk?), *Crepc* t. j. Krzepak, *Krostovz* t. j. Krostawc, *Blisc* t. j.

*) Oburzył się o ten wyraz prof. Baudouin na mnie i chwalebny swym trybem poplotł banialuki. Twierdzi, że mam «miły zwyczaj udzielania przeciwnikom naukowym charakterystyk, uwłaczających pod względem *moralnym*» (chyba, jeśli na to rzetelnie zasłużyli — dodają od siebie, zresztą nigdy); «*eskamotować* znaczy zręcznie kraść, fałszować; albo więc Br. nie rozumie znaczenia używanych przez siebie wyrazów, albo też rozmyślnie rzuca obelgi» i t. d. Nieprawda — *eskamotować* używa się właściwie o kuglarzach i dla nich, dla prestidigitateurów i t. p., jest charakterystyczne i używałem tego wyrazu, myśląc właśnie o kuglarskich sztuczkach i kuglowaniu, nie o kradzieży ani fałszerstwie, jakie wemnie prof. Baudouin najniesłuszniej wmawia; w przeciwnym razie byłbym bez najmniejszej żenady fałszerstwo fałszerstwem obezwał.

Blizk, *Dome*, *Datk*, *Maruze* t. j. Maruszk; obok nich, częściej, występują nasze zwykłe, *Crostavez*, *Golec* (Gólek, nie Golec!), *Chropec*, *Sulec*, *Stralec* (Strzałek), *Quatec* (Kwiatek), *Quassec* (Kwasek), *Mogilec*, *Milachec* (Miłaczek), *Olobuchc* (Kłobuczek), *Mesec* (Mieszek), *Marlec* (Marłek), *Curassec* (Kuraszek), *Dobec* (Dobek), *Brodec*, *Redec* (Radek). W późniejszej nieco księdze lubińskiej, z XII i XIII wieku, nie znalazłem ani jednego podobnego przykładu, są tylko *Stojek*, *Gólek*, *Mroczek*, *Bieniek*, *Wyszek*, *Borek*, *Muczek* (? *Mucec*), *Więcek* (? *Wecek*). Ostatnie zaś ślady podobnych zbitok (np. *matk*, *ławek*), spotykam w pierwszej połowie XVI wieku u małopolskich nawet pisarzy. Więc niechce mi się wierzyć, jakoby to miały być formy późniejsze, analogiczne, co raczej się rozrastają, niż żeby ustępować miały. Skłaniam się do zupełnie innego, naturalnie anarchicznego (inaczej już nie potrafię!) poglądu. Wiem dobrze, że w różnych czasach język różnie się co do półsamogłosek zachowywał. Np. staroruski język ma, tak jak polski, zbitki w nagłosie (po oniemieniu półsamogłosek), jakich nowy ruski nie znosi (*šti* ze *šesti*, *kstiť* z *krestiť* ludowe, jak nasze *chrzcić* i t. p.). Pytam więc, czy staropolszczyzna nie znosiła może zbitok i w pogłosie (jak w nagłosie), których my już nie znosimy, t. j. że jej forma *Krostawc* powstała, nie analogją do 2. przypadku, *Krostawca*, lecz samorzutnie? że więc obie po sobie następujące półsamogłoski (*krostawici*) zaniemiały? zaniemienie obu takich półsamogłosek znajduję w *cny* i t. p. w *dziś* czyli *dzińś* z *dzieniś* a to forma, na którą żadna analogja (możliwa, u *Krostawc*) wpłynąć nie mogła, więc pierwotna! Stosunek był więc odwrotny: widzimy w je-

zyku polskim stałe dążenie do wsuwania owego *e*, *ie*, (dziś nawet już do *arebesek* i *humoresek* zajechaliśmy!) co najlepiej i na słowach obcych dostrzegać można; więc nie uwierzimy z łatwością, żeby przeciw temu stałemu, odwiecznemu dążeniu analogia dopiero miała wywoływać *Krostawc*, *matk* i t. p.; byłyby to raczej formy stare, co z czasem zupełnie zginęły. Że w obcych słowach dorabiamy wedle bocznych przypadków (*wizerunku*) nowy pierwszy (*wizerunek* zamiast *wizerunk*), jak do *ognia*, *ogień*, albo że odwrotnie traktujemy *e* obcych słów jako ruchome, że urabiamy od *Luter*, *Lutra*, a od *Hegel*, *Hegla*, to już tylko dal-sza konsekwencja, niby jakiś nasz nałóg. Formy *Lutra*, *Hegla* nazwałem chłopskimi; drwi naturalnie z tego prof. Baudouin (97), że «chłopu» Hegel w każdym razie całkiem obcy — ależ te drwiny nie są na miejscu; jego ekonom przecież czy inspektor może się Hegelem nazywać. Dziś widzę, że już *Günthra* (od *Günther*) urabiają — czytałem go u ks. Miaskowskiego, naszego zasłużonego bibliografa humanisty; wiem dobrze, że Czesi w podobny sposób obce nazwy na — *er* odmieniają, ależ nie radziłbym wszystkim ich nawyczek naśladować. Napiętnowałem te formy jak chłopskie, podobnie jak chłopską nazywam pisownię *humór* (jest w recenzji prof. Baudouina, nie wiem czy umyślnie?), *doktór* (w Warszawie przecież nikt *doktor* nie wymawia, choć go tak pisze), *fetór*, *odór*, bo skąd łacinie do pochylenia samogłoski. Wprawdzie pyta Ułaszyn tryumfująco: «ale czyż to łacina pochyla? a czy to łacina nosowkuje zapytam z powodu np. *Kołędy*?» Pytanie głupie, bo nie odroźnia «Lehnwort» *kołęda*, liczące sobie tysiąc kilkaset lat

(mogłby zapytać z równym prawem, czy niemczyzna nosowkuje, z powodu np. *księdza*), od «Fremdwort» *doktor*, *odor* i t. p., co są łacińskie, nie polskie i dlatego nasza ortografia, jako etymologiczna, nie słusznie się nagina do fałszywej wymowy (przecież piszemy: *honor*, *motor*, nie *honór*, *motór*, chociaż lud tak wymawia *rumor* i t. d.), i tej łacinie bez sensu polskie *ó* narzuca. Mnie pomawiają o anarchię, niekonsekwencję i wszelkie możliwe grzechy przeciw dziesięciorgu (dekalogu) językoznawczemu, chociaż ja właśnie anarchję, przynajmniej ortograficzną, ile sił zwalczam. Również i morfologiczną — jak to mnie napadł i od inkwizycji i Bismarkow mi nałajał prof. Baudouin, za to, że zaprotestowałem przeciw paskudnym formom *wsiow* (*troskow* u Niemcewicza, Malczeskiego i i. stałe!), albo *urzęda*. *Chór* przyplotł Ułaszyn niesłusznie; jego *ó* jest stałe, nie ruchome i pisano to słowo nawet przez *u*, niby *Jakuba*, którego dopiero nowsza kografia usunęła, chociaż *Kubę* i *Jakubowskich* zatrzymała.

Więc i morfolog Baudouin o niczym nas nie pouczył; wywody jego okazały się albo aż nadto wątpliwe albo wręcz mylne. Przyczynę tego stałego niepowodzenia ukazaliśmy wyżej: brak metody historycznej, nieuwzględnianie warunków i t. p. Coż z tego wynika? czyżbyśmy mieli odnawiać zasług prof. Baudouinowi? Są, leżą tylko na innym polu. Gdzie moje, filologiczne, się kończy, tam się jego, lingwistyczne, zaczyna; więc naraża się na szwank, kiedy pole właściwe opuszcza i w obce się wtrąca. Umyślnie nie tykałem żadnych rzeczy ogólnych w moich *Dziejach*; umyślnie zostawiłem je innemu pracownikowi, w oba-

wie, że w ciasnych ramach nie rozmieścić należycie materiału historycznego — dziś widzę, że nadto skrupulatnie trzymałem się tego ograniczenia, że należało się przecież kilka uwag ogólnych, że nie należało wykluczać lingwistyki zupełnie. Mistrzem w niej jest właśnie prof. Baudouin i procesy ogólne, psycho-fonetyczne, rozwój języka (np. u dzieci), ścisła terminologia fachowa, pociągają go stale. Gdzie się jednak konkretnych dotyka zjawisk (a ja tylko takie uwzględniałem), traci grunt pod nogami, ślizga się i upada; srogie takie potknięcia wykazaliśmy powyżej. Historyczna gramatyka przyjmuje naturalnie wskazówki ogólne od lingwistyki, niby pierwsze dyrektywy; operuje stale analogją i t. p., chociaż samego procesu psychicznego, kryjącego się pod tą nazwą, nie bada — ale w materiale swoim rządzi się sama; często zadowala się podaniem faktów, nie pytając nawet o ich przyczynę. Konflikt więc między mną a prof. Baudouinem polega na pomieszaniu dwu rozmaitych dziedzin wiedzy i metod. Ja nie odrzucam «ze wstrętem tytuł lingwisty», jak baje Ułaszyn (chyba takiej «lingwistyki», jaką on uprawia, t. j. całkiem mechanicznego, bezmyślnego stosowania regulek i analogijek do zjawisk, ze wstrętem unikam); anim też «wyraźny wziął rozbrat z całą niemal grupą językoznawców», jak baje Nitsch w *Poradniku Językowym* 1908, str 135 (coby kto pomyślał o historyku nowożytnym, coby wziął «rozbrat wyraźny» z sociologją?). Uznaję i cenię ważność lingwistyki, ale sam jej nie uprawiam, zajęty aż nadto filologją; słucham jej wskazówek — ale i historyk nowożytny wyśmiewa tylko socjologa, coby mu się wtrącał w kre-

ślenie akcji jakiejś dyplomatycznej czy wojennej. Nie oganiaj cudzego prosa.

Niech nam prof. Baudouin napisze książkę o języku polskim, gdzie, czerpiąc z materiału domowego, wykaże zasady, szematy, życia i rozwoju językowego, wyłoży zdobyczy antropofonetyczne, psychologiczne i t. d.; tej drogi umyślnie nie zagraadzałem, dlatego na nią wcale nie wstępowałem, zadowolony skromniejszym zadaniem, przedstawieniem rozwoju języka pisemnego, pisowni nawet samej, wpływów języków obcych i tym podobnych szczegółów technicznych.

Na zakończenie tej przydługiej chryi dodam jeszcze kilkanaście luźnych uwag co do sumienności i prawdomowności szanownego recenzenta — na chybi trafi, bo gdybym wszystko chciał prostować czy bronić, musiałbym napisać rozprawę, coby kilka razy była większa niż recenzja prof. Baudouina. Niejednej rzeczy znowu nie ruszam umyślnie, np. uwag o moim szowinizmie i t. p. — byłbym smutny, bo czułbym się winnym, gdybym w tej materji na pochwałę u prof. Baudouina zarobił.

Pisałem wszystko jak najzwięźlejš — miecz Damoklesowy, wymagane dziesięć arkuszy, wisiał nademną; wypadło więc niejedno dla owej zwięzłości niejasno, niedokładnie, ale żeby słowa moje jawnie kto miał przekreślać, aby mi tylko błąd moc zarzucić, z taką złą wolą nie liczyłem się wcale. Np. «podobnie, zdaniem Br., polskie *jabłko* zrobiono z niemieckiego *Apfel* i z litewskiego *obulas*, str. 71». Oczom nie wierzę, więc patrzę do mej książki na str. 71, a tam czytam, że Słowianie nie znoszą samogłosek nagłosowych, doczepiają im *j* i t. d., «więc u łacin-

nika *agnus*, my *jagnię*; *jablko*, ale Niemiec ma jeszcze *Apfel* a Litwin *obulas*» — widzi więc czytelnik, że to «zrobiono z niemieckiego i t. d.» z myślił (aby się najgrzeczniej wyrazić) prof. Baudouin; dalej w tym samym zdaniu pisze prof. Baudouin, (zrobiono) «polskie ulubione *-ski*, powstałe z *isk* z niemieckiego *-isc* (*-isch*), litewskiego *-iszkas* (!! str. 65)»; widzę z tych dwu wykrzykników, że prof. Baudouin pomawia mnie chyba o nonsens, jakobym nasze *-ski* wywodził jako obce z niemieckiego i litewskiego — ależ za takie błazeństwo znowu prof. Baudouin sam odpowiada, nie ja; ja na str. 65 porównałem tylko nasze *-ski* z *isch*, *iszkas*, nie wywodziłem go od nich (jako, od obu odrazu? co za głupota!); piszę przecież: «z naszym ulubionym *-ski*, powstałym z *-isk*, niemieckiego (*z* dodał prof. Baudouin, u mnie go niema!!) *-isc* (*isch*), litewskiego *-iszkas*, np. *pański* od *pan*, por. niemieckie *herr-isch*, litewskie *pon-iszkas*«.

«Na jakiej zasadzie twierdzi Br., ...że język prasłowiański posiadał więcej liczb, aniżeli Arjowie, bo oprócz pojedynczej i mnogiej także podwójną?» (str. 116). Tymczasem ja mówię na str. 16 o tym, że język prasłowiański posiadał więcej liczb, niż nasz, bośmy pozbyli się podwójnej: «ilość przypadków ta sama (w prasłowiańskim), co i dzisiejsza (t. j. u nas), zato posiadał język prasłowiański więcej liczb», naturalnie, niż my dzisiaj i przytaczam przykłady dawnej naszej podwójnej.

Sumiennosc i prawdomownosc prof. Baudouina moze czytelnik z tych probek osadzic. Ze go w mojej ksiazce wszystko gorszy, temu juz jego zly humor (albo jak on pisze, *humor*) winien, a wiec moj styl,

moja polszczyzna i t. d. Co do niej, karci «niewłaściwe, bo nie polskie użycie spójnika *i*, np. Polacy nie umiejący po niemiecku *i słowa*» (t. j. ani słowa): zapomniał tylko prof. Baudouin powiedzieć, z jakiego to języka na tym świecie wzięłem to «nie polskie» *i*? czy z niemieckiego? Zdradzę mu tajemnicę; mam to «nie polskie» *i* — z Wacława Potockiego, np. *i słowa o soli* (t. j. ani słowa); przykłady przytaczam w wydaniu Ogrodu, II, 496; albo karci zwrot *z reguły*, tak dobry jak np. *z zasady*.

Przytaczam gołe fakty — i za to mnie ciągi, np. przytaczam z rękopisu dawnego »na stara (nie *stare*, jak prof. Baudouin pisze, 98) kolana» i objaśniam je «na stare lata» — wedle prof. Baudouina należy to do miejsc, «w których trzeba się zastanawiać nad właściwością moich zestawień i form przytaczanych» ależ to wymysł prof. Baudouina, Czech do dziś mówi *na starą kolena* = auf die alten Tage, więc co tu się zastanawiać? Albo np. nazwałem *w* w przyimku *w* przydechem — na to dowcipkuje prof. Baudouin: ..«to coż zostanie po usunięciu tego przydechu? chyba absolutne zero t. j. nic» (100). Coż ja nieszczęśliwy pocznę, kiedyż tak jest!

Na str. 108 zarzuca mi, że niepotrzebnie przytaczam wyrazy litewskie («często gęsto przekręcane i niedokładnie pojęte», co znowu Baudouinowską »prawdą» trąci), ale na str. 111, oczywiście dla konsekwencji, zarzuca mi, żem nie przytoczył litewskiego słowa!

Z lubością zarzuca mi prof. Baudouin nieprawdę, np. twierdząc, że Polak niemiał stroju narodowego i w coraz nowe, lecz zawsze obce się mody stroił —

«co równieź jest nieprawdą» dodaje prof. Baudouin 109. Coź ja winien, że to wszyscy dawni pisarze twierdzili, że np. Rej opowiadał, jak malują stroj narodowy polski? oto wystawiają Polaka gołym, a obok niego nożyce i sukno, kraj sobie jak chcesz.

Zaraz dalej czytam o sobie «*nadzwyczaj przesadnie i nieprawdziwie* brzmi porównanie przyswojeń polskich z ruskiego i odwrotnie — że przywłaszczyliśmy sobie jedno i drugie ich słowo a nieskończenie więcej oni naszych» (wedle mego twierdzenia). Znowu Baudouinowska prawda; jeśli mi nie wierzy, niech weźmie słownik białoruski Nosowicza, gdzie co piąte słowo bywa polskie i niech policzy, ileż u nas jest słów białoruskich; i w ukraińskim, czyli małoruskim, ileż słów polskich (czy przytaczać kursujące o tym dowcipylwowskie?), a ile u nas małoruskich! Właśnie polemizowałem o to i z ś. p. Karłowiczem i stałem odrzucał jego mniemane pożyczki polskie z małoruskiego. Nawet rosyjski język ma nierównie więcej pożyczek polskich niż my rosyjskich (nie myślę naturalnie o polsczyźnie petersburskiej ani o litewskiej), chociaż ze stosunków białoruskich i ukraińskich i śladu w nim niema; ależ ja właśnie o tych myślałem, jako o pogranicznych (z obszarem językowym polskim: *bliskość granic i rozwój kultury* — moje wyrazy — odnoszą się przecież tylko do nich). Plecie więc prof. Baudouin, co ślina mu do ust przyniesie.

«Polacy to wybrańcy losu, sztydzi prof. Baudouin (str. 109), więc (moje słowa:) niema chyba drugiego języka na świecie, któryby tyle ciekawych, rozmaitych rzeczy z swoich słów obcych wyczytywać dawał»; dowiodłem też tego, kalejdoskopu niby, w oso-

bnej księżczyńie — prof. Baudouin mowi na to, że to nieprawda. Niech zdrow gada. Za to broni on «lenistwa umysłowego» w przejmowaniu zbytecznym obcych słów (101) i przekręca moje wywody; mnie się ani śniło, ganić poddawanie się napływowi obcych *piersiastkow* kulturalnych, to wymysł naturalnie prof. Baudouina; ganiłem tylko ślepe przyjmowanie obcych słów niepotrzebnych.

Ależ ani jednego zdania nie mogłbym pozostawić bez komentarza — nie warta tego cała recenzja.

Wykazałem chyba na dosyć licznych probkach, jakiej wartości są wywody prof. Baudouina, przeciw mnie skierowane. Sprawiedliwość każe wyznaczyć, że niejeden zarzut słuszny — przecież i ślepej kurce trafi się ziarno.

A więc najpierw poodkrywali obaj recenzenci błędy druku, i to najwალniejsza ich zasługa, np. żem wydrukował *czosać* zam. *czesać* (tylkoż zrobili z tego obaj całą chryję), *savty* zam. *svaty*, albo *pło-plesa* (zam. *plosa*).

Dalej odszukali rozmaite lapsus calami, a więc *Szczawiński* zam. *Sławiński* a są i gorsze, np. gdym napisał, że mamy tyleż przypadków co i Arjowie, kiedyż mamy o jeden mniej. Ale największa ilość zarzutów, tu nie wspomnianych — to tylko czepianie się słówek, jak się pijany płotu czepia. Np. pyta prof. Baudouin dowcipnie, gdzie znalazł dokumenty na to, że powstawanie nowych samogłosek długich — pochylonych sięga czwartego i piątego wieku? Na to pytanie dałem odpowiedź, kiedym przypuszczał, że sięga ono doby polskoczeskiej spólnoty językowej (obrębu języka polskoczeskiego), a ta się zakończyła ostatecznie przed szóstym wiekiem.

Gdym twierdził, że treść mojej książki polega

»po największej części na badaniach własnych«, tom miał na myśli rozdziały o rozwoju języka piśmien-
nego, t. j. rozdziały jej główne, bynajmniej nie uwagi
o języku, jakie w każdej gramatyce (t. j. dla mnie
w Miklosichu, alfie i omedze mojej), odnajdziesz i kto-
rych znajomości od studentów wymagam; tych rze-
czy nie «poodkrywałem» sam i nie o nich też myśla-
łem, pisząc owe słowa. Właśnie obaj recenzenci cał-
kiem jednostronnie książkę rozpatrywali, krytykując
w niej to, co dla mnie było raczej tylko wstępem,
podłożem, nie właściwym celem przedstawienia, nie
samym gmachem. Dlatego ta pośpieszność (o «wy-
czerpaniu przykładów» nigdzie i mowy nie było);
to staranie też, aby jak najprostszymi terminami (np.
«twardy», «miękki» o brzmieniach!), rzecz jako tako
zrozumiale wyrazić; to unikanie systematycznego,
gruntownego wykładu, nie godzącego się z rozmia-
rami książki. Więc pozostają mi obojętne zarzuty co
do niedokładności, niefachowości całego wykładu; nie
dałem przecież nawet tablicy brzmień, nie wyliczałem
ich nawet. Więc i dzieliło się rzecz mechanicznie,
najpierw np. o samogłoskach, potem o spółgłoskach,
żeby nie wracać, nie przerywać toku. Głosy nie-
uprzedzonych, co mnie dochodziły, potwierdzały mi,
żem osiągnął, com sobie założył; że niejeden szcze-
goł zbyt cenny, że co gorsza, niejeden mylny, niemam
się dlatego mej książki wstydzić — zostawiam to
obu recenzentom, za głupstwa, co o niej popisali, za
złą wolę, co z każdego ich zdania przebija.

Nie odpowiadam więc wcale na wszelkie za-
rzuty prof. Baudouina, skierowanie przeciw mojej np.
personifikacji języka; przeciw mieszanii brzmień

i głosek; przeciw mniej ścisłym wywodom (nawet o pomieszanie aspirat i spirantów głowa mnie nie bardzo zaboląa); przeciw brakowi logiki, o jaki mnie recenzent pomawia (np., że twierdzę, iż cechy ruszczyzny są naszemu językowi obce, albo iż u nas niema śladu półsamogłosek — należy to tylko do owego czeplania się płotu, com tylokrotnie wytykał wyżej); przeciw używaniu terminu «pasorzyt» (co jest najzwyczajszym nonsensem, prawi recenzent), albo przeciw nieodroźnianiu ścisłemu terminow: język, narzecze, gwara i t. d. i t. d. Wszystkie te zarzuty chętnie na siebie przyjmuję: nic mi bowiem nie zależało na tym, aby je wyminąć. Tu chętnie ustępuję pola lingwiście. Owszem, przyznam, że należało wyrzucić niejeden termin umiejętny, niejeden szczegół historyczny — ale o zbytnią skrupulatność pod tym względem nie ubiegałem się wcale.

Że książka moja wprawi prof. Baudouina w zły humor, o tym mogłem z góry być pewnym; że mi przytym nałaje od środkowości polszczyzny, chociaż o niej w książce wcale nie mówiłem, również wiedziałem — ależ pojmuję tę środkowość naganną i w tym sensie, że co inni tylko częściowo utracają, Polacy całkiem porzucili, np. Czesi zatrzymali choć iloczasowe różnice, Ruś choć odmienność akcentu — my i jednego i drugiego się pozbyli. Prof. Baudouin z góry się do mnie uprzedził: on wietrzy u mnie wszędzie złą wiarę czy wolę, nawet w najniewinniejszych szczegółach, np. kiedym tylko Noskowskiego z wydawców melodyi litewskich wymienił! dodam, że «Tomaszewskiego i Korotyńskiego» jako autorów słownika wileńskiego wymieniłem na podstawie listu, co

do mnie Maurycy Orgelbrand krótko przed śmiercią wystosował — w Berlinie bowiem egzemplarza tego słownika niema. Mnie tylko nic na tym nie zależało, aby uznanie, czy względy prof. Baudouina pozyskać — nadto rozeszły się nasze kierunki, aby je kto mógł pogodzić. Że się na jego krytykę odezwałem, uczyniłem to, nie w tym celu, aby pokazać, jak się u nas recenzje piszą (materja to ani nowa ani ciekawa), lecz aby wobec powagi, jakiej prof. Baudouin na polu swej specjalności zażywa, obronić książkę od niesłusznej napaści; aby poinformować czytelnika, idącego na lep tej powagi, że zarzuty mi uczynione są albo całkiem niesłuszne i zwracają się przeciw samej osobie i powadze recenzenta, albo całkiem stronnicze, uprzedzone, nie uwzględniają zadania, jakie jedynie miałem przed oczyma. Żem z tej sposobności skorzystał i niektóre uwagi zasadnicze i szczegół niejeden w tej filipice pro domo umieścił, uczyniłem to z owej «wielkiej żądzy popularyzowania», z owego «ugania się za popularnością», co mi moj oponent również wytyka a do czego się jak najchętniej przyznaję.

Wierny temu hasłu, sformułuję na zakończenie jałowego sporu kilka zasad czy aforyzmów, aby ułatwić czytelnikowi sąd o najpospolitszych zjawiskach czy dążnościach w nauce i praktyce filologicznej, lingwistycznej czy ortograficznej. Zaczynam od ostatniej.

1. *Pismo służy wyrażaniu myśli, porozumiewaniu się, nie oznaczaniu właściwości wymowy, choćby ogólnej, tym mniej indywidualnej.*

Grzeszą przeciw tej najpierwotniejszej zasadzie wszyscy narzucający nam pisownię fonetyczną. I tak zaczynają kreskować *n*, gdzie go dotąd nie kresko-

wano, np. *geńjusz*, *ironja*, *Frańciszek*; zaczęła chyba niebawem *Ażja* pisać (tak wymawiał np. nieodżałowanej pamięci J. Hanusz) i tym podobne nonsensy. Tu należą *humór*, *doktór*, *fetór*, *odór*; kakografia nasza przedrzeźnia się słowom obcym. Lud nasz przynajmniej konsekwentny, bo mówi i *honur* i t. p.; my wedle naszego widzimisie (widocznie jedynej zasady, obowiązującej w naszej ortografji, por. np. pisownię *źródło* zam. jedynie poprawnej *źrodło* i tyle innych), *or* łacińskie pochylamy lub nie i piszemy tak lub owak! To się nazywa u nas pisownią «etymologiczną»; chyba ją jak *canis a non canendo* przezwano: pies, bo nie pieje. Fonetyka, t. j. pisownia wedle wymowy, jest dobra dla tego, co chce np. z gwary kaszubskiej «język» gwałtem wydusić (proszę zobaczyć publikacje kaszubskie Lorenza; nie wiedzieć, czy się śmiać czy płakać nad tymi hieroglifami); dalej dobra ona dla tych, co zrywając — dla różnych celów, z historją, z tradycją, od siebie samych nową erę datują, nowe piśmiennictwo rozpoczynają (por. protesty, jakimi liczni Rusini sejm galicyjski przeciw własnej «fonetyce» rokrocznie zarzucają); dobra ona wkońcu dla barbarzyńców, co nie mając jeszcze o czym pisać, biedzą się, jak pisać. U narodów z kulturą, z historją, fonetyka jest wyłączona: ortografia choćby najtrudniejsza (angielska np., z której słynny lingwista oksfordzki Maks Müller się wyśmiewał, mówiąc, że konserwatyści ją nie bez celu pielęgnują, gdyż człowiek, co uwierzy, że *inöf* należy pisać *e-n-o-u-g-h*, we wszystko na tym świecie wierzyć będzie), usuwa z góry całkiem niekulturalne jednostki. Więc choć na piśmie bądźmy konserwatywni, z czego jednak

bynajmniej nie wynika, żebyśmy i głupstwa konserwowali, np. *Francję* i podobne piękności; również nie zapominajmy, że czym mniej znaków (akcentów i t. p.), tym lepiej i ładniej.

2. *Jednostajność, prawidłowość językowa jest tylko pozorna; niknie, skoro się np. po narzeczach rozglądamy.*

Weźmy pierwszą lepszą gwara, np. ślesieńską, z Kujaw południowych, z samego środka polszczyzny, nie podległą więc np. wpływom ruskim; korzystam z ciekawego jej opisu, zamieszczonego w lwowskim «Ludzie», co nam warszawską «Wisłę» (Karłowicza i Majewskiego) zastąpił, teraz pod redakcją S. Matusiaka, nie szczędzącego sił i czasu, aby czasopismo i pożytecznym i poczytnym uczynić, walczącego niestety z brakiem uznania i środków, chociaż to jedyne nasze etnograficzne pismo. Z tego opisu, naturalnie na wiarę autora, wybieram jeden szczegół: jak się gwara wobec płynnej w pewnych kombinacjach zachowywa. Mowią stale *wółdarz*, nie *włodarz* i t. d.; ktoby się uparł, mogłby go z *Kołdrąbkiem* (zam. *Kłodrąbia*) porównać i nadzwyczajną starożytność (nieprzerwaną płynną), w nim upatrywać. Dalej mówią *mołczyć* zamiast *milczeć*, jak Ruś; *ołnować się* o wodzie, gdy fale biją od *wołna*=fala, (w dawnej polszczyźnie *wetm* i t. p.); *zapołnić*, nie *zapełnić* (więc całkiem z ruska, choć tam o żadnej Rusi i śladu!). Nakoniec mówią *pluśnia* zam. *piłśnia*, a więc nie tylko *l* przedstawili, lecz pomieszali *li* z *lu* (jak my np. *lunąć* zam. *linąć* mówimy, *litować* zam. *lutować*, *ślina* obok *śluny* ruskiej i t. p.). Tak wygląda w istocie ta prawidłowość, «bezwyjątkowość» języka i jego mniemanych «praw głosowych». Wyżej przytaczaliśmy liczne przy-

kłady takiej odmienności, np. *wnuk* i *wnek*, *trud* i *trąd* (choroba, co «trudzi» człowieka), *skra* i *iskra*, *gra* i *igraszka* (w dawnej polszczyźnie *graszka*), *kora* i *skora* (dziś z odmianką w znaczeniu — dodam, że lingwiści w takim *s* nagłosowym upatrują prastary skamieniały przyrostek, jakie są np. nowsze w niemieckich słowach *g-laube fr-esse* i t. p., w ruskim *s-motriet* i t. p.; czy słusznie, inne pytanie).

3. *Czym dalej cofamy się wstecz, tymbardziej zmniejsza się jednostajność językowa.*

Widzimy to np. na językach dzikich ludów, podlegających ciągłej odmianie (stąd ta mnogość ich dialektów dziwna), gdzie nawet jedno i to samo słowo ten sam człowiek w tych samych warunkach czasu i t. d., coraz inaczej wymawia (np. z *p* lub z *b* bez różnicy). Ale nie potrzeba nam aż tak daleko sięgać; u siebie samych spotykamy się nie tak rzadko z tym samym objawem, np. wymawiamy *paprać*, i *babrać*, *dryzdać* i *trystać* (*trznąć* i t. p.), *pluskać* i *bluzgać* (stąd nasze *bluźnić*, t. j. bluzgać słowami), niegdyś *grusza* i *krusza* (stąd prastare *Kruszwica*), *drożdże* (z *drozgi*) i *troski* (jedno i to samo słowo; różne znaczenia), *trzaska* i *drzazga* i t. d.; podobnie wymieniamy *r* i *l*, *krzyknąć* — ruskie *kliknuć*; *głos*, litewskie *garsas* (to-samo); czym dalej, tym więcej takich odmian, np. mówimy *sarna*, ale Litwin *stirna*, odwrotnie my *strzege*, on *sergu* (bez *t*); my *drozd* albo *drozg*, on *strazdas*; my *list*, on *laiszkas* i nie potrzeba tego z jakiegoś *laisztkas* wywodzić i t. d. i t. d. Taksamo mienią się *k* i *ch*, nasze *chropawy* np. ale ruskie *koropavyj* to samo (*Chropy* nazwa prastarej miejscowości o nierównym gruncie, serbskie *chrape* to samo); *krosta* i *chrosta* (u in-

nych Słowian); *krokorzyć się* a ruskie *chorochoritsja* to samo, nadymać się i t. d. Anarchja to języka, nie mojej głowy ani mego wymysłu.

4. *Przyczyny odmian głosowych są nam najczęściej zakryte.*

Najdalej jeszcze stosunkowo docieramy «naiwnym objaśnieniem zmian językowych *eufonją*, (co dziś ustąpiła) objaśnianiu dążnością do *oszczędzania pracy językowej* w trzech kierunkach: *fonacji* (mówiącego), *audycji* (słuchacza), *cerebracji*» (myślącego): rzecz ta sama (nie kijem to pałką), tylko modną terminologją wyświeżona. Pozatym panują same frazesy, np. tego rodzaju: najwybitniejsze dążności mowy dziecinnej, nagromadzając się, drogą dziedziczności, w ciągu wielu pokoleń, wywołują w końcu zmiany historyczne w języku normalnym danego plemienia. Jakiś czas istotnie na dzieci zwalano winę zmian językowych — przeciw doświadczeniu codziennemu, że nie dzieci nas, lecz my dzieci języka uczymy, chociaż nie wszystkie się go wyuczą (szeplenią np. niektóre, nie wymawiają *r* do końca życia i t. p.). Dziś już nie każdy badacz podpisze np. takie zdanie: «dziecko jest jak gdyby zwiastunem stanu, czekającego język plemienny w przyszłości; nabywając stopniowo wszystkie właściwości języka otoczenia, dziecko cofa się z tej dalekiej, przepowiadanej przyszłości do teraźniejszości języka». Brzmi to ładnie i gornie, ale coś z tego, kiedy to szczerą fantazją, nic więcej.

Jednej ogólnej przyczyny, coby tłumaczyła odmiany językowe, niema: spóldziałają rozmaite. Np. wpływy obcych języków; zauważono dawno, że różne języki, stykające się na terytorjum spólnym, na-

bierają niejakięs jednolitości fonetycznej (nie mówiąc o wpływach bezpośrednich, np. o zapożyczaniu wyrazów lub sposobów mówienia). Ale i ten wpływ przeceniono szalenie; była jakiś czas moda, szczególnie u młodszych badaczy, różnice np. języków aryjskich tłumaczyć wpływem języka autochtonów, co się zmieszali z przybyszami aryjskimi; tak u nas «mazurzenie» nawet wpływem fińskim na serjo tłumaczyć chciało. Takie i tym podobne baśni z góry odrzucamy: najpierw, niema dowodu, ba nawet śladu, żeby Finowie przed nami w Małopolsce albo koło niej siedzieli; ależ gdyby i tej niemożliwości dopuścić, gdzież dowód, że mazurzenie, co niby ich wpływem zawdzięczamy, tak dawne? a jeśli ono np. poza X wiek nie sięga (co bardzo łatwo możebne), coż wtedy? gdzież ci Finowie i ich wpływ?

5. *Odmiany fonetyczne są bądź ogólne, bądź odosobnione, dowolne; nawet przy odmianach ogólnych bywają wyjątki dowolne.*

Słowianie np. odrzucali niegdyś wszelką końcową spółgłoskę, takie *s*, *d*, *r* i *i*. (*m*, *n* zlewało się z poprzedzającą samogłoską); zjawisko to ogólne, bez wyjątków. Ale np. Polacy, rozdwarzając pierwotne długie *ie* w *ia* i *ie*, lub krótkie *ie* w *io* i *ie*, dopuszczali się wyjątków; mówili np. *powieść*, *wieść* zamiast *powieść*, *wieść*; *na wiosnę* (ludowe, niemal powszechne) zamiast *na wiosnę* i t. d. Inne objawy głosowe można wręcz kaprysami nazywać, tak są wyjątkowe; np. wszelkie przestawki (metatezy); każda gwara ma sobie właściwe, np. ślesińska takie *odełknąć* zam. *odeklnąć*, *ogrdob* zam. *odrgob*, *obelgli* zam. *oblegli* i t. d. Jedne odmiany wywoływa nadzwyczaj wolne przesuwanie

się miejsca artykulacji; inne (np. właśnie przestawki) skuteczniają się nagle; ale i te miały niby przygotowane, spolne podłoże, bo inaczej nie przyjąłby ich ogół. On sankcjonuje, co zawsze od indywiduów wychodzi; on też hamuje zbytnią rozbieżność artykulacji indywidualnej. Z góry nie da się przewidzieć, jaki kierunek odmiana specjalna poweźmie; rozwój stopniowy odmienia słowo nieraz zupełnie, zatracą wszelki ślad jego przynależności; ktoż się np. domysli, że *cora* i *donka* z tego samego słowa wyszły?

6. Dla wyjaśnienia słowa (*jego pochodzenia, jego „etymologii“*), nie wystarcza ostatni jego kształt; należy szukać dawniejszych, aby nie wpadać na manowce.

Przykładów wyżej przytoczyliśmy sporo. Kto daje się zwodzić przypadkowemu np. podobieństwu brzmień, wyjedzie wkońcu na metodę Dębołęckiego, i będą mu Ateny «uczone» a łacina «łacna». Wiele grzeszyli historycy, nie pytając filologii i siekając na bigos iście hultajski nazwy obce, germańskie i t. d., upatrywając w nich słowiańskie, nawet Mekka i Medina przed nimi się nie wysiedzą, żartował Miklosich. Podobnie błądzi, kto np. *niestety* i czeskie *neštěstí* zestawia: pozorna bliskość rozwiewa się, gdy do dawniejszych form (*niestoty, niestocie* i t. d.) sięgniemy; tak samo ma się rzecz z niem. *auge* i greckim *auge* (blask), z łacińskim *habere* a niemieckim *haben* (proby połączenia tych dwu słów nie ustają jednak, mimo głębokiej różnicy, jaka je dzieli, chociaż dla laika nie istnieje). Z podobnym prawem i skutkiem tym samym możnaby polskie *ja* z niemieckim *ja*, lub nasze *ich* z niem. *ich* zestawiać, choć rzecz się ma odwrotnie, nasze *ja* bowiem jest z niemieckim *ich* iden-

tyczne (*ik* — *ego*, — *az*, — *jaz*, — *ja*), a nasze *ich* z niemieckim *ja* jest przynajmniej spokrewnione. Pozory ludzą więc gruntownie.

7. *Wyłączona jest z gory wszelka arbitralność, wszelkie wyrokowanie, nie liczące się z faktami.*

Dawaliśmy już wyżej podobnej arbitralności przykłady i widzieliśmy, do czego prowadzi. Oto jeszcze parę przykładów z pism tegoż autora. Twierdzi on np., że nasze *ubior* zastąpiło dawniejsze *ubor* (por. *przybor* i t. p.), że niby z niego powstało, pod wpływem czasownika *ubierać*; że nasze *dźwięk* (czyli *źwięk*), zamiast pierwotnego *zwęku*, podobnie wedle czasownika *dźwięczeń* (*źwięczeń*) urobiono dopiero później. Ależ to bajki; *zbior* np. lub *obior* nie powstał ze *zboru* (zgromadzenia) lub *oboru*, lecz jest najzwyczajniejsze «postverbale» do *zbierać* czy *obierać*, to znaczy: do czasownika urabia się rzeczownik, np. do *podniecać* *podnieta* i t. p.; taksamo więc nie poszło *ubior* z nieznanego nam *uboru*, lecz jest «postverbale» do *ubierać* t. j. sprzątać właściwie; *dźwięk* jest również prastare, ogolno-słowiańskie i nie zastąpiło żadnego *zwęku*. Albo opowiada nam tenże autor, że w polskiej odmianie *h*: *z* (*błahy* — *błazen*) oba jej członki zostały wzięte z czeskiego; tymczasem język czeski zupełnie nie zna *błahego* (w naszym znaczeniu tego słowa), a *błazen*, *błazno*, jest wyraz prasłowiański, spólny nam i Czechom i o żadnej «pożyczce z czeskiego» ani mowy być nie może, ani w jednym ani w drugim słowie. Fakty więc, nie czeze domysły, popłacają jedynie w językoznawstwie; gdzie brak faktów (łącników i t. d.) domysły zastępywać muszą, z największą ostrożnością postępywać należy.

8. *Wystrzegaj się domysłów jednostronnych; przyznaj się raczej do niewiedzy, zostaw rzecz czasowi.*

Grzeszą przeciw tej kardynalnej zasadzie ci, co raz gdzieś uprawniony domysł (co przez to uprawnienie faktem się stał), nadto rozszerzają. Wiemy np., że polskie *bagnić się* (o owcy) powstało z *ob-agnić się* (przyimek pierwotnej formy *ob-* i *agnię=jagnię*, niby jak *okocić się*, *osczenieć się* i t. p.), w ten sposób, że mówiący, przyzwyczajeni zresztą do przyimka tylko we formie *o*, słowo mylnie dzielili, *o-bagnić* zamiast *ob-agnić*. Tego trafnego spostrzeżenia nadużywają jednak, twierdząc, że i *baczyć* i *badać* podobnym nieporozumieniem niby powstało, a mianowicie że *baczyć* wydobyliśmy z *ob-aczyć* (od *oko*, niby *oboczyć*) a *badać* z *obadać* (*ob-* i *adati*, stare słowo, czeskie *jadati* badać). Oba wykłady, choć się wyraźnie o *bagnić*—*obagnić* opierają, między bajki włożymy.

9. *Nie wyrrywaj słowa z najbliższego otoczenia, trzymaj się progów rodzinnych, nie wyjeżdżaj z nim do Mekki czy Medyny.*

Jeżeli masz np. słowo *dziś*, to nie upatruj w nim jakiejś niesłychanej przedpotopowej formy (*dzi* t. j. *dzień*), lecz tłumacz je z zwykłego *dzień* i nie zbłądzisz. Grasuje na razie między lingwistami istna epidemia: niezadowoleni dawnym dorobkiem etymologicznym, plądrują słowniki choćby narzeczone, wyrrywają z nich słówka i porównują je na wyścigi, celtyckie z słowiańskimi i t. d., ale co jeden porównał, to drugi odrzuca i nowe równie pewne kombinacje nam rai. Nawet najtrzeźwiejsi, sceptycy jak Leskien albo Brugman, dają się temu szałowi nieraz porywać (Leskiena wykład słowiańskiego *ojma* = wojska; Brugmana wy-

kład *żupana* niby pasterza, choć to słowo zdaje się obcym, awarskim czy bułgarskim, nie słowiańskim, przynajmniej pojawia się w wykopaliskach prabułgarskich, koło Aboby, na równi z innymi turskimi terminami). Nasze najniewinniejsze słowa wywracają w tych ciężko uczonych rozprawach najpocieszniesze koziółki. Więc odrzucając staroindyjskie, starogreckie i inne równie przekonywujące porównania, zadowolajmy się tłumaczeniem domowym; — dosyć i w nim zagadek, np. takie złożenia z niezrozumiałym *sto* — w *stoproża* (rodzaj sieci), *stokłosa*, *stoligwa* (ptak) i t. d., lub *ga-wron*; por. *sko-wron*, *sko-mroch* kuglarz i i.; *jast-* w *jast-koła* (jaskółka), *jast-rząb* i t. d. Jakie to figle język płatać umie, pokażę na przykładzie. *Wilga* nazywa się na wielu miejscach (aż do Prus zachodnich; u Karłowicza, w Słowniku Gwarowym, mało przykładów, jest ich o wiele więcej), *Boguwolą*, *Bogwolą*. Co to jest? Jest to nazwa osobowa, żeńska, w dawnym średniowieczu bardzo używana, później zapomniana doszczętnie; w małej księdze lubińskiej np., obejmującej nazwy XII i XIII wieku, cztery razy się powtarza; jest i w staroczeskim, chociaż niewiem, jakim prawem Gebauer w Słowniku staroczeskim nazwę męską z niej urobił. Otoż jakiś dowcipniś przezwiał tak wilgę, jak inny zająca Filipem (wyrwał się jak Filip z konopi — przysłowie znane), lub Czech ptaka domowego Kachną (kaczką) i rozeszła się ta nazwa po całej Polsce. Można więc i bez sanskrytu słowa polskie objaśniać — prawda, że nie wszystkie, a takiego *gospodarza* np. nawet i ze sanskrytu nie objaśnisz.

10. *Wystrzegaj się mechanicznych objaśnień — wygodne one i łatwe, łatwo też zawodzą.*

Jest to tylko odmianka osmej przestrogi. Mechanicznymi nazywamy np. objaśnienia, co słowa polskie z obczyzny wywodzą; jest obcych przybyszów, włączów, w języku naszym aż nadto, ale każdą jego niezwykłość czy trudność wymijać w ten sposób, że się ją na karb obcy, czeski czy ruski, odlicza, to piętnujemy nazwą wprawdzie mechanicznego, ale fałszywego objaśnienia. Na każdym kroku spotykamy się z nim; jednemu *bez* wydaje się ruskim, bo po polsku *bez* oczekiwaliśmy; drugiemu *blahy*, *blazen*, są czeskie, nie polskie (dlaczego, to głęboka tajemnica, którejśmy nie ciekawi); trzeci odsądzi prapolskie *powiedać* (w *pedać* ściągane), polskości, bo mu jego regułka wadzi (wedle niej powinno być i jest *powiadać*), otoż aż z Czech je wyprowadza i tak w nieskończoność.

Druga, równie mechanicznie stosowana zasada, to tak zwana analogja, niby podobieństwo: mówiący dają się nią łatwo uwodzić; jeżeli np. odmieniali pierwotnie *ocięc*, drugi przypadek i dalsze *ojc-a*, to od XVI wieku zaczynają i w pierwszym przypadku mówić *ojciec*, wedle analogji *ojca ojcu* i t. d. Albo wedle *mogę* powiedzą i *mogiemy* zamiast *możemy* i t. d. Albo wedle *nosie*, *włosie* i t. d., powie ks. Cichowjusz (pogromca Arjanow) *we fałsie*, inny *w kapelusie*, chociaż to formy z gruntu fałszywe — każda analogja zresztą «fałszywa» niegdyś była, nim jej zwyczaj nie wylegitymował. Jest to zasada ogólna; język właściwie analogją stoi, bez niej nigdy się nie obejdzie, ciągle analogją narabiamy, lecz nie wszystkie trudności nią objaśniesz. I tu znowu tworząc jedne formy wedle

drugich, jedne słowa za innymi, błędzą, stosując ją mechanicznie wszędzie. Np. polskie *bies*, nie *bias* razi swoim *ie*; otoż twierdzą, że to *ie* dostało się do *biesu* wedle *biesić się*, albo że *eena* zawdzięcza swoje *e* (w staropolskim jest raz i *cana*), czasownikowi *cenić* i t. d. Otoż to wszystko bajki; przyczyna tego *ie* czy *e* zamiast *ia*, a tkwi zupełnie gdzieindziej: jak *wiara* i t. d. mimo *wierzyć*, *wierny* istnieje, tak i *biesa* i *cenę* ani *biesić* ani *cenić* nie wywołały; objaśnienie podobne jest więc łatwe, ale fałszywe.

Nie myślę jednak dalej uwagi czytelników zaprzatać, ani nowymi aforyzmami ani nowymi przykładowi — dla byle jakiego poglądu na rzecz, wystarczy chyba, cośmy przytoczyli. Tłumaczenie zjawisk językowych wymaga cierpliwości, wiedzy, ostrożności: otwierają się nie od jednego razu, klucza, metody. I filolog i lingwista do tej pracy są powołani; nie przeszkadzając sobie, nie wdzierając się jeden w atrybucje drugiego, winni razem ku spólnemu celowi różnymi drogami dążyć.

Uwaga z powodu pisowni. Aby mnie nie pomowiono o brak konsekwencji — wymagam przecież ortografji konserwatywnej, a sam od jej zasad odstąpiłem, nadmieniam, dla czytelników nefachowych, jakoteż dla lingwistów, że moja ortografja wznawia tylko dawną, niesłusznie porzuconą dla wymysłów pedantycznych, szkolarskich. Przez trzy wieki nikt niemal nie kreskował *o* i *e* — procz Łazarza i syna, procz Knapjusza i Kopczyńskiego i tegoż powaga narzucała nam owe najzbyteczniejsze kreskowania, jak i ow cud logiki gramatycznej, odrożnianie *-ym* i *-em* i t. d. Dawniej już zarzucała nasza kakografja inną trafną pisownię XVI wieku: zbitkę *szcx* wyrażało się wtedy stale przez *sex* i słusznie wymagał tego samego Kochanowski, ale możnaby nie tylko *szcx*, lecz i *ść* (*ści*), pisać tylko przez *sex*, *sć* (*sci*),

ponieważ *ex* i *é* (*ci*) objaśniają dostatecznie naturę poprzedzającej syczącej, a więc *puszczę*, *pusć*, *puszczyć*, nie *puszczę*, *puść*, *puścić*. Bałem się na razie występywać z pisownią *sć*, ale *szcz* przeprowadziłem, żeby raz zaprotestować przeciw temu paskudnemu *szcz*, haniebnie szpecącemu druk i tamującemu pismo, najniepotrzebniej w świecie. Pisownia *szcz* bowiem wystarcza zupełnie, a pierwszą zasadą w ortografii (nie w kakografii takiej, jak nasza), sformułował stary Parkosz przed 450 laty: nie wyrażaj liczniejszymi znakami, co równie dobrze mniej licznymi wyrazisz. Każde zaoszczędzenie zbędnych liter (*puszczę*) i kresk (*puść, który*); staje się dobrodziejstwem dla pisarza, zecera i czytelnika; druk popstrzony kreskami, nierówny, niespokojny, razi oko; w piśmie pomagamy sobie choć sami, kresk nie kładąc żadnych; unikajmyż ich i w druku, ile możliwości. Jak taka uproszczona pisownia wygląda, to tylko chciałem tu pokazać.

DODATEK. Nie chcąc samego tekstu notami przerywać, uzupełniamy go tutaj kilku szczegółami. Str. 34 i 35: przeciw twierdzeniu, że formy jak *starsi*, *lepsi*, są dopiero na-
bytkiem XVII w., możnaby przytoczyć z katechizmu brzeskiego 1553 r. «*ojcowie oni pirowsi święci*», «*ci wszyscy i insi*», ależ te formy dostały się do przedruku tylko myłką wydawcy; w pierwodruku jest wyraźnie *pirwszy*, *inszy* (pisane według ówczesnej reguły *pirwssi*, *inssi*, jak np. *wssisicy* i t. d.). Str. 16: *Grzesznica* «*podex*», czytamy u pierwszego mistrza starej polszczyzny, u Biernata Lubelczyka (ojca poezyi i literatury polskiej, za jakiego Reja mylnie uważają), *bych zakryta swą grzesznicę* (prosi małpa u liszki ogona); *pani grzesznica* a wedle *stary grzesznik*, *stara grzesznica* lub *pani*, tak że się bez łaciny i jej «*anus*» zupełnie obejść można. Str. 15: może staroruski *rynda* tyleż co *rydel*, t. j. rycerz nie stoi z niem. rider? w żadnym związku z *ryndu biej*, jako z terminem marynarskim, więc terminem *nowym*,

dowolnym albo obcym, ależ i w takim razie *ring the bell* tylko kpinami trąci — chociaż dla języka wszystko możliwe. Str. 56: *blaxno*, (*blaxen*, właściwie *blaxn*), *powtarxa się* u Opecia, w glosarjuszku poznańskim XV wieku trzy razy. por. w tymże glosarjuszku *barlogo* (*bartog*, ruskie *berloga* zam. *berlogo*?) i *bluxna* (*blizna*), co z *pluśnią* *piłśnią*, ślesieńską, ob. str. 51, porównaćby można, chociaż i inne narzecza słowiańskie *bluxnę* znają, jak i *plinać* obok *plunać*. Przepraszam jeszcze łaskawych czytelników za liczne błędy «drukarskie», szczególnie w pierwszych dwu arkuszach (tu należy i *rosyjski*, str. 26, zam. *ruski*; *melodyi*, str. 48, zam. *melodji*).

Berlin, 12 listopada 1908.

A. Brückner.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000715814



II 21223

